

W NUMERZE: Dzieje Republiki Sztabińskiej Karola Brzostowskiego ■ Heleny Boguszewskiej związki z Łodzią ■ O człowieku, który odkrył Tatry ■ Co działo się w Łodzi przed odzyskaniem niepodległości? ■ Moralność i biznes ■ Dokończenie „Bosiego sezonu” ■ Fatalna wpadka złodziei samochodów ■ Recenzje ■ Felietony

Łódź

odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny



NR 48 (1094) ROK XXI

26 LISTOPADA 1978 R.

CENA 3 ZŁ



JERZY URBANKIEWICZ

druga noc listopadowa

Pierwsza wojna światowa oraz jej finał przed 60 laty miały dla Łodzi nie tylko to znaczenie, które wynika z faktu odzyskania przez Polskę niepodległości. Jeżeli wojna jest zawsze zjawiskiem niszczącym, to tylko w Łodzi, mieście paradoksów mogła ona, właśnie prawem paradoksu, stworzyć pewną wartość. Wartością tą był samorząd, który powstał w sposób dziwny, ale w łódzkich dziejach lat 1914–1918 odegrał doniosłą rolę.

Przed wybuchem pierwszej wojny burmistrz i prezydent łódzcy zarządzili miastem sami, jednoosobowo, co najwyżej korzystając czasami z pomocy lub doradczego głosu mianowanych przez siebie radców. Metoda ta do absurdu doprowadził ostatni przedwojenny prezydent, osławiony renegat Władysław Pieńkowski. To też, kiedy w dniu 1 sierpnia 1914 roku ogłoszona została mobilizacja, groźno patriotów przewidywała możliwość ucieczki prezydenta, w ślad za nim policji, a więc możliwość powstania zgubnej dla miasta anarchii. Obawy

te były usprawiedliwione następującą sytuacją w mieście.

Poborowi szli na punkt zborny w parku Źródliska bez entuzjazmu. Raczej nie szli, a lechali tramwajami, gruchnęła bowiem po mieście wieść, że obrońcom samodzielną wolno nimi jeździć bezpłatnie. Toteż obsiedli nie tylko pomosty i stacje, ale również bufory i dachy. Kto wojnę traktował poważnie, ten wyciągał z poczekalni złote 5-rublowki i szedł na komisję przez tyłne drzwi, by łanówka złatwić zwolnienie.

Mnóstwo ludzi opuszczało wtedy

Łódź, powstało więc niezłomne do owego czasu zjawisko korków ulicznych, tyle, że to nie samochody a furmanki i wózki ręczne zapelniały ulice. A na wozach chybotały się sterty tego, co było potrzebne, często zaś w zdenerwowaniu pakowano zupełnie zbędne rzeczy. No, z gimnazjum przy ulicy Mikołajewskiej (dziś — III LO im. T. Kościuszki przy ul. Sienkiewicza 46) wywieziono, stosy starzych zeszytów, a wraz z nimi, jak mówiono, dwa miliony ortograficznych błędów. Żandarmeria paliła swoje archiwa w fabrycznej kotłowni, a monopol spirytusowy wywoził posiadane zapasy do rynsztoków. Kto żył rzucił się z kubłami do zaprawiona wrzawie, ale przecież darmowa wódka. A byli tacy, którzy po prostu uciekli na bruk i pili wórkę ze ścieku. Eldorado!

Naczelnik garnizonu uporczywie poinformował społeczeństwo, że „głównodowodzący armia kazał tłumić wszelkiego rodzaju nieporządki

ogniem i mieczem, bez litości.” Natomiast car wyciągnął ku nam ręce z dalekiego Petersburga i zadeklarował wzruszony:

„Niechaj się zetrą granice dzielące na części naród polski. Niechaj naród polski połączy się w jedno ciało pod berłem cesarza rosyjskiego. Pod tym berłem odrodzi się Polska swobodna w swojej wierze, języku, samorządzie.”

Na opisanym w ten sposób tle załemu i popłochu pojawiła się organizacja, będąca, jak się następnie okazało, embrionem pierwszego łódzkiego samorządu. Mianowicie w prasie ówczesnej zamieszczono następująca odezwa:

„Grono obywateli w ciężkich warunkach, jakie w wyjątkowych okolicznościach miasto nasze przeżywa, tworzy przy miejscowej straży ogniowej organizację w celu współdziałania z władzami w utrzymaniu spokoju i bezpieczeństwa. Organizacja ta w razie ewentualnych kom-

plikacji (podkr. J.U.) spełniać będzie nadal swoje obowiązki, skierowane ku utrzymaniu w mieście porządku. Wobec tego ogół mieszkańców powinien zachować się spokojnie, nie denerwować się, nie szerzyć wśród współobywateli popłochu, porządek bowiem i ład są na wszelki wypadek zagwarantowane.”

„Ewentualne komplikacje” oraz „wszelki wypadek” to oczywiście interregnum wynikłe w następstwie ucieczki władz rosyjskich. A te uciekały i wracały, nigdy nie było wiadomo, czy odchodzą lub wracają na stałe, więc owa organizacja przybrała ostrożną nazwę Komitetu Obywatelskiego Niesienia Pomocy Biednym. I rzeczywiście pomoc dla biednych była bodaj najważniejszą sprawą bowiem z miejsca rozpanoszyło się „paszkarstwo” czyli spekulacja żywnością,

Dalszy ciąg na str. 5

TEMAT: KULTURA W GMINIE

Jak już informowaliśmy, 14 listopada br. odbyła się XV sesja Rady Narodowej Miasta Łodzi, poświęcona stanowi i perspektywom rozwoju oraz upowszechnianiu kultury w miastach i gminach województwa łódzkiego.

Obrady prowadził przewodniczący Rady Narodowej, I sekretarz KŁ PZPR — Bolesław Koperski. Na sesji obecni byli: sekretarz KŁ PZPR — Zbigniew Faliński, wiceminister kultury i sztuki — Józef Fajkowski oraz prezydent Miasta Łodzi — Józef Niewiadomski.

Na wstępie radni zapoznali się z informacją wiceprezesa Miasta Łodzi Jana Morawca, który przedstawił najważniejsze problemy rozwoju i upowszechniania kultury w WML na tle jego społecznych i gospodarczych przemian. Za główny kierunek dalszego upowszechniania kultury młoda propozycja przyjąć maksymalne wykorzystanie możliwości tkwiących w potencjale kulturalnym Łodzi — przez rozwijanie potrzeb bezpośrednich kontaktów ze sztuką w zawodowych placówkach artystycznych i kulturalnych Łodzi.

O potrzebie stworzenia programu rozwoju i upowszechniania kultury w WML — wynikała z rosnących aspiracji kulturalnych mieszkańców województwa — mówiła następnie przewodnicząca Komisji Oświaty, Wychowania i Kultury RN M. Łodzi — prof. dr Natalia Gajl. Przedstawiła ona wyniki

kontroli i analiz, jakie — w celu bliższego poznania problemów upowszechniania kultury w miastach i gminach — przeprowadziła w ostatnim czasie Komisja. Naczelnym postulatem wynikającym z obecnej sytuacji staje się wyrównywanie różnic i dysproporcji między poszczególnymi miastami i gminami. W tym celu konieczne staje się łączenie wszystkich sił i środków.

Prof. Natalia Gajl zgłosiła również projekt wykorzystania młodzieży łódzkiej uczelni artystycznych do pracy instruktorskiej w klubach, świetlicach i zespołach amatorskich.

Oba te wystąpienia, jak i przedstawiony radnym materiał, analizujący dotychczasową sytuację w dziedzinie upowszechniania kultury, stały się punktem wyjścia do dyskusji nad programem dalszego upowszechniania kultury w WML.

Pozytywnie oceniono w dyskusji działalność miejskich i gminnych ośrodków propagandy i kultury. Zwrócono jednak uwagę na konieczność podjęcia przez te ośrodki funkcji głównego koordynatora wszystkich działań kulturalnych „w terenie” oraz organizatora — przy współpracy zawodowych instytucji kultury w Łodzi — akcji zbliżania mieszkańców miast i wsi województwa do dóbr kulturalnych w Łodzi. Z drugiej strony radni podkreślali potrzebę aktywizacji środowisk twórczych i placówek kulturalnych

Łodzi, których obowiązkiem staje się przygotowanie atrakcyjnych ofert dla mieszkańców WML. Wielokrotnie wskazywano w dyskusji, iż warunkiem realizacji programu jest konkretna oferta, niejako stały „rozkład jazdy”, zapewniający przemyślaną i systematyczną ofertę odbiorców ze sztuką.

Dla realizacji programu rozwoju i upowszechniania kultury w miastach i gminach WML konieczna jest również koordynacja wysiłków władz administracyjnych, oświatowych oraz organizacji, tworzenie wspólnych programów działania.

W dyskusji radni mówili o przykładach udanej współpracy. Wydaje się jednak, że na ogół tradycja wspólnego działania i jednoczenia starań nie jest jeszcze zbyt silna.

Na przeszkodzie szybszego rozwoju kultury w WML stało dotychczas szereg niedostatków lokalowych i kadrowych. Podczas sesji RN radni wskazywali na wiele konkretnych możliwości wykorzystania rezerw bazowych, m. in. przez adaptację, remonty i rzetelną analizę stopnia wykorzystania istniejących już sal i pomieszczeń.

Ważna rola w nowym programie rozwoju i upowszechniania kultury w miastach i gminach WML, przypada zbiorczych szkółom gminnym. W dyskusji zastanawiano się nad dalszymi możliwościami zachęcenia nauczycieli i młodzieży szkolnej do pracy kulturalnej, a także wykorzystania pomiesz-

czeń szkolnych. W wypowiedzi wicekuratora Kuratorium — A. Skoniecznej padło wiele przykładów ciekawego współdziałania szkół z placówkami kultury i sztuki. Ale choć młodzież szkolna jest stałym gościem łódzkich placówek kulturalnych, na przeszkodzie rozszerzenia programu wychowania estetycznego stoi niedostatek nauczycieli wychowania plastycznego i muzycznego. W innych głosach przedstawiciele władz gminnych zapewnili o zrozumieniu, z jakim napotykała się w terenowych placówkach oświatowa koncepcja szkoły otwartej dla potrzeb środowiska wiejskiego.

Do przedstawionego na sesji Rady Narodowej M. Łodzi materiału — który stanie się podstawą do opracowania szczegółowego programu działania — radni wnieśli szereg wniosków oraz poprawek, postulując np. potrzebę ściślejszego wiązania problemów upowszechniania kultury w miastach i gminach WML z możliwościami i perspektywami łódzkich placówek artystycznych, np. teatrów. Zaproponowano również do środków masowego przekazu, łódzkiej prasy, radia i telewizji o rozszerzenie informacji w dziedzinie kultury.

Na zakończenie XV sesji Rady Narodowej M. Łodzi radni zatwierdzili projekt uchwały w sprawie dalszego rozwoju i upowszechniania kultury w miastach i gminach województwa łódzkiego do roku 1995.

TOMASZ SOLDENHOFF

"CZŁOWIEK-SWIAT-POLITYKA" PO RAZ DWUNASTY

Po raz dwunasty już w ostatniej dekadzie listopada odbędą się w tym roku tradycyjne DNI KSIĄŻKI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ „CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA”. Tegoroczna dekada książki społeczno-politycznej, która odbędzie się w dniach od 20 do 30 listopada, związana jest z kilkoma rocznicami, jakie obchodziliśmy lub obchodzimy w 1978 roku. Właśnie więc ona z 60 rocznicą odzyskania niepodległości, powstania Komunistycznej Partii Robotniczej Polski, z 35 rocznicą powstania Ludowego Wojska Polskiego i bitwą pod Lenino, z 30 rocznicą zjednoczenia ruchu młodzieżowego i powstania ZMP oraz z 30 rocznicą zjednoczenia ruchu robotniczego i powstania PZPR. Warto też przypomnieć, że w tym roku przypada również 60 rocznica powstania wydawnictwa „Książka i Wiedza”.

Wszystkie te rocznice wyznaczają treść tegorocznych dni książki społeczno-politycznej. A więc sprawy naszej historii najnowszej, odzyskanie niepodległości i rozwój polskiego ruchu robotniczego, to najważniejsze zagadnienia, jakie będą niewątpliwie dominowały w licznych spotkaniach, odczytach, jakie zorganizują domy kultury, biblioteki, a także i niektóre księgarnie. Treści te też znajdą swoje odbicie w organizowanych w tym czasie wystawach.

Jednak tylko RSW „Prasa — Książka — Ruch”, przygotowała około 20 tysięcy imprez, na które złożyła spotkania z działaczami społeczno-politycznymi, pisarzami, dziennikarzami, historykami, drukarzami, pracownikami bibliotek i muzeów.

Inauguracja tegorocznej dekady książki społeczno-politycznej odbyła się 20 listopada 1978 roku w Częstochowie. W czasie inauguracji pokazano około 3 tysiące tytułów związanych z podstawowymi tematami obecnej dekady. Pokazano tam również te pozycje, które wejdą w skład książek przeznaczonych dla Klubu „Człowiek — Świat — Polityka”.

W Łodzi szczególną uwagę zwraca wystawa książki społeczno-politycznej w Domu Technika. W Łodzi, tak jak we wszystkich województwach, odbędą się liczne imprezy tegorocznych DNI KSIĄŻKI SPOŁECZNO-POLITYCZNEJ „CZŁOWIEK — ŚWIAT — POLITYKA”.

W tym roku, podobnie jak i w poprzednich, księgarnia „WSPÓŁCZESNA” przy al. T. Kościuszki, zarówno w ramach dekady książki społeczno-politycznej, jak później w tygodniu poszukiwanej książki, oferuje Czytelnikom bogaty zestaw interesujących i poszukiwanych książek. O propozycjach „WSPÓŁCZESNEJ” napiszemy szczegółowo w przyszłym numerze „Odgłosów”.
L.W.

SZANSA DLA MŁODEJ KULTURY

Nie jest dziełem przypadku, że pod skrzydłami organizacji studenckiej narodziło się i rozwinięło już kilka pokoleń twórców. Organizacja studencka była bowiem zawsze najpoważniejszym mecenasem kulturalnego i artystycznego ruchu młodych. W tej chwili jesteśmy świadkami narodzin i pierwszych kroków nowego pokolenia twórców, nad którym wzbuchający patrynat Rzecza Socjalistycznej Związku Studentów Polskich.

O założeniach i formach tego mecenatu pisaaliśmy szerzej w poprzednim numerze „Odgłosów”. Jeżeli jednak forum dla konfrontacji dokonał teatrów studenckich stanowią festiwale, miejscem spotkań solistów i zespołów są przeglądy, plastyki mają swoje plenery i warsztaty, twórcze, to młodzi pisarze i kry-

tycy pozbawieni byli dotąd miejsca, które mogłyby stać się terenem systematycznej, ogólnopolskiej i interdyscyplinarnej konfrontacji, terenem, gdzie oprócz stałej rejestracji wydarzeń następowałaby ich ciekawa, krytyczna weryfikacja, gdzie — w końcu — krystalizowałaby się świadomość najmłodszego pokolenia twórców, umacniały wewnętrzne pokoleniowe więzi.

Szanse spełnienia tych wszystkich funkcji ma najnowsza inicjatywa wydawnicza ZG SZSP — zeszyty „Ruch kulturalny i artystyczny „INTEGRACJE”, których numer pierwszy ukazał się podczas finału VI Festiwalu Kultury Studentów w Poznaniu — w październiku br.

„Chcieliśmy, aby INTEGRACJE stały się miejscem dialogu wstępującego pokolenia, aby pre-

zentowały sztukę dojrzalego wyboru, aby debiut znaczył — ideowo i światopoglądowo — samookreślenie się” — napisał w przedmowie redaktor naczelny wydawnictwa, zastępujący inicjator wielu form patronatu nad młoda sztuka — Jerzy LESZCZYŃSKI, wyrażając jednocześnie nadzieję, że staną się „INTEGRACJE” nie tylko ważnym udokumentowanym dokonaniem, ale również platformą sporów i dyskusji, metodą inspirowania młodych twórców.

Już pierwsza edycja pisma potwierdza słuszność tak określonych założeń i celów. Znajdujemy w niej przegląd i próbę oceny najważniejszych zjawisk w kulturze studenckiej: w teatrze, literaturze, piśmiennictwie, kabarecie i sztukach plastycznych. Obok kilkunastu interesujących esejów,

wywiadów i omówień pomieszczone w „INTEGRACJACH” m. in. spora dawka poezji najmłodszego pokolenia twórców oraz prezentacja prac czołowych młodych artystów. Wydawnictwo uzupełniają obszerny i bogaty ilustracyjny dział zawierający kronikę studenckiego ruchu artystycznego, noty, recenzje i polemiki. Dodatkowa, ale nie mniej ważna w odbiorze atrakcja pisma jest szata graficzna.

Można więc mieć nadzieję, iż młodzi twórcy i działacze skorzystają z tej wielkiej szansy, jaką stworzył im mecenat organizacji studenckiej, i że „INTEGRACJE” staną się miejscem najważniejszych pokoleniowych wystąpień.

Zainteresowanych Czytelników, którzy chcą otrzymać „INTEGRACJE” — zeszyty ruchu kulturalnego i artystycznego SZSP, znajdują się niebawem w kioskach „RUCHU”.

(T.S.)

Listy do Redakcji

„NIEDZIELA W GROTNIKACH”

W nr 41 waszego pisma z 8 października 1978 r. ukazał się artykuł pt. „Niedziela w Grotnikach”, pisał Andrzej Makowiecki, w którym autor porusza między innymi działalność gastronomiczną w tej podłódzkiej miejscowości letniskowej. Zdaniem Zarządu Gminnej Spółdzielni „SCH” w Zgierzu, poruszone problemy nie zostały przedstawione w sposób obiektywny. Wynika z tego, że artykuł z braku czasu nie skonsultował się z władzami polityczno-administracyjnymi i GS w Zgierz, by omówić swoje spostrzeżenia dotyczące terenu Grotnik i ustalić przyczyny opisanych niedociągnięć.

Jeśli chodzi o placówki gastronomiczne, to Gmina Spółdzielnia „SCH” w Zgierz, przejęła od 15.IV.1978 r. od WOSIR restaurację „Zameczek”, od WSS restaurację „Grotniczankę”, „Leśniczankę”. Obiekty te były zaniedbane i zaśmiecone, wymontowano z nich urządzenia kuchenne, chłodnicze i zabrano przedmioty oraz naczyńia stołowe.

Dużym zaskoczeniem dla Zarządu GS była decyzja władz miejskiego województwa łódzkiego co do przekazania tylko części gastronomicznej „Zameczka”, pozostawiając natomiast część hotelową i administracyjną nadal WOSIR. Ze względu na dwóch właścicieli obiektu, działalność gastronomiczną była ograniczona i dostosowana tylko do obsługi wczasowiczów przebywających w hotelu „Zameczka”.

Restauracja „Zameczek” została zamknięta w miesiącu wrześniu na okres przebudowy z powodu choroby jej kierownika, który uległ wypadkowi przy pracy (doznając porażenia nogi). Obecnie zmieniono już agenta i działalność restauracji została wznowiona. Wystąpiło również z wnioskiem do Urzędu Miasta Łodzi o ustalenie jednego gospodarza dla całego obiektu „Zameczka”, co ułatwi sprawne i jego funkcjonowanie.

Jeśli chodzi o bar „Leśniczanka”, położony jest tuż przy nieczynnym stawie i ze względu na panujący tam odór biota, w roku sezonu tylko niewielka ilość konsumentów spożywała tam posiłki. Stąd też na wniosek agenta w uzgodnieniu z Urzędem Gminy oraz WZSR w Łodzi, w pierwszej dekadzie miesiąca września zamknięto działalność tego baru.

Restauracja „Grotniczanka”, zlokalizowana jest w pobliżu dworca kolejowego. Zakład ten, jak to zauważył autor artykułu, jest najczęściej odwiedzany przez ludzi spragnionych i ludzi wygłodniałych, czyli plajaków i milośników mięsa.

Zarząd Gminnej Spółdzielni przez cały okres sezonu, w pierwszej kolejności zapatrzywał ten lokal we wszystkie niezbędne artykuły oraz napoje chłodzące. Mniej zaś dostarczano napoi alkoholowych. W toku kontroli stwierdzono, że znaczna ilość „bywałów” i konsumentów przynosiła ze sobą alkohol, który spożywano na trawie wokół baru. Ze względu na duże zgromadzenie wczasowiczów i kolonistów na terenie Grotnik, z przyczyn obiektywnych — nie zawsze Gmina Spółdzielnia mogła zabezpie-

czyć taką ilość mięsa, na jaką agent składał zapotrzebowanie. Tak też było w niedzielę 17 września 1978 r. (które to dotyczy artykułu), przydział mięsa dla tej restauracji był zgodny z rozdzielnikiem, z tym, że zwiększono ilość wyrobów gastronomicznych i wędlin. Przeprowadzone rozmowy z personelem i niektórymi osobami przebywającymi w Grotnikach i korzystającymi z wyżywienia, stwierdziły, że wyjątkowo w tym dniu było dużo konsumentów i wszyscy zostali dobrze obsłużeni. Pewne ograniczenia w wyborze dań zanotowano dopiero w godzinach popołudniowych, ale flaki i zurek można było dostać bez żadnych ograniczeń.

W okresie sezonu, łącznie przeprowadzonych było 12 kontroli przez fachowych pracowników WZSR, GS oraz inspektorów TSSE — uwagę do asortymentu dań, jakości potraw, wagi i estetyki obsługi — nie było.

Sezon wypoczynkowo-turystyczny 1978 roku jak wieny nie był najlepszy. Wiele dniowe opady atmosferyczne spowodowały, że wymienione zakłady gastronomiczne w całym sezonie wykonywały obroty na poziomie 1,2 mln. złotych (a więc około 50 proc. planu), przynosząc Spółdzielni stratę w wysokości 124 tys. złotych.

Ze względu na trudne warunki, brak odpowiednich pomieszczeń i małe place, odpadki spożywcze przenoszone są na zaplecze do specjalnych tam ustawionych pojemników, które z kolei zabierane były przez hodowców tuczu trzody chlewnej. Taką zasadą bowiem obowiązującą we wszystkich zakładach gastronomicznych.

Doświadczając z pierwowzoru roku naszej gastronomicznej działalności w Grotnikach, zaobserwowane usterki i niedociągnięcia, w tym również i uwagi, zawarte w omawianym artykule były i będą jeszcze przedmiotem rozważań Zarządu GS przed rozpoczęciem sezonu turystyczno-wypoczynkowego 1979 roku.

Ponadto Zarząd Gminnej Spółdzielni będzie czynił starania w kierunku rozwoju zaplecza letniskowo-wypoczynkowego. Grotnik poprzez umieszczenie w planie inwestycyjnym po roku 1980, budowy centralnego domu handlowo-gastronomicznego.

mgr HENRYK WACHULA
Prezes Zarządu

„UPROSZCZONY ŚWIAT”

W moim artykule publikowanym przed kilkoma tygodniami na łamach „Odgłosów” pt. „Uproszczony świat chińskiego kina” wkładać się — nie z mojej winy — drobny, acz bardzo istotny błąd. W tekście publikowanym ukazało się następujące zdanie: „W czerwcu 1972 roku na festiwalu Nowego Kina w Pesaro we Włoszech organizowano pierwszy na tak dużą skalę przegląd kina chińskiego. W trakcie którego pokazano 29 filmów fabularnych i 5 dokumentalnych zrealizowanych w latach 1952-64, tudzież 1974-77”.

Zdanie to powinno zaczynać się od słów: „W czerwcu 1976 roku...”. Nawet Chińczycy bowiem nie ztrafił już w 1972 roku pokazów, co dopiero zrobić w latach 1974-1977.

Łącząc pozdrowienia!

MARIA KORNAŁOWSKA

SŁOWO O REYMONCIE

5 listopada odbyła się w Skierniewicach uroczystość zakończenia Ogólnowojewódzkiego Turnieju Wiedzy pn. „Władysław Stanisław Reymont”. Turniej, zaadresowany przede wszystkim do młodzieży, zorganizowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Skierniewicach w porozumieniu z Związkiem Socjalistycznej Młodzieży Polskiej i Stowarzyszeniem Bibliotekarzy Polskich. Byłem przy narodzinach tego konkursu, jak również wziąłem udział w uroczystości końcowej. Turniej, czy jak kto woli, konkurs, został ogłoszony kilka miesięcy temu, i 1 czerwca, w Lipcach na sesji popularnonaukowej „Władysław Stanisław Reymont — życie i twórczość”. Sesję zorganizowała Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Skierniewicach. Minęło kilka miesięcy i oto spotkaliśmy się z finałami turnieju.

Młodzi ludzie przygotowali się solennie do konkursu. Wykazali dużą znajomość życiorysu pisarza i jego utworów. Regulamin wymagał od nich znajomości niektórych opracowań biograficznych, a także dzieł, przede wszystkim „Chłopa”, trylogii „Rok 1794”, „Ziemi obiecanej”. W finale znalazło się 9 osób. II Jolanta Piórkowska, III Stanisław

Kobus, IV Maciej Sobczak. Po zostali otrzymali wyróżnienia.

Pamiętam, z jakim wzruszeniem słuchałem przed laty w Kielcach — przybyłymi tam z okazji Świętokrzyskich Dni Kultury — recytacji starszej kobiety ze wsi, która dopiero co nauczyła się czytać i pisać. Owa kobieta recytowała teksty Żeromskiego. Ale jak! Wydało się, że to odczyt na scenie jedna z plebejskich bohaterów Żeromskiego i opowiada o swoim bólu i krzywdzie. Byli między nami tacy, którzy plakali.

Podobne wzruszenie udzielało się i w świetlicy w Skierniewicach. Młodzi dali wyraz nie tylko znajomości dzieł pisarza, ale także świadectwo żywotności jego utworów. „Wczytanie się w teksty Reymonta (powtarzam za Józefem Rurawskim, autorem książki „Władysław Reymont”) wykazuje wyraźnie, że niektóre jego dzieła nie straciły nic ze swojej wartości literackiej i intelektualnej. Wydaje się także, że niektóre jego utwory bez zbytejnej przesady mogą być traktowane jako zapowiedź prozy nowoczesnej, współczesnej dzisiejszemu czytelnikowi”.

Maria Dąbrowska w swojej preuzrocznej „Gawędzie o literaturze” napisała: „W samej rzeczy, jakiegokolwiek epoki dotknie, owo zbieranie się w cudze piórka: „Długie buty, se-

rańszej czy przyszłej, wyfantazjowanej — o ile jest pisarzem prawdziwym z powołania, geniuszu i umiejętności, to wyłowi z niej pierwsi i najistotniejsze, zdolne w różnych czasach wzruszać najrozmaitszych ludzi, ukazywać im głębszy, radosny albo smutny, komiczny albo tragiczny sens ludzkich spraw, którego bez pośrednictwa dzieła sztuki wcale by nie dostrzegł. Wydobycie tych to istotnych, typowych dla ludzkiego świata pierwiastków, odbarza dzieło literatury własnością długiego życia i trwałej aktualności”.

Dzieło Reymonta te pierwiastki długiego życia zawiera. Jeden z krytyków mówi o Reymonie, że posiada on zdolność ożywiania wszystkiego, co dotknie jego pióra. Posiada dar obserwacji, który owocuje nie tylko w „Chłopach”, ale i we wcześniejszych opowiadaniach. Stefan Kozicki pisał w „Kulturze” w 1975 roku, że Reymont jest bardzo dobrym reportażystą: „Współczesne skojarzenia budzi również technika pracy reporterskiej Reymonta. Jego pierwszy większy reportaż (1894 r.) wydany w formie książkowej (nb. parokrotnie wznowiany i tłumaczony m. in. na francuski i niemiecki), a będący relacją z pieszkiej pielgrzymki na Jasną Górę odbytej z kompanią parafii Praga, zaczyna się zdaniem, dowodzącym, że nie Rolik (i Snopkiewicz jego prorok) wymyślił reportażową obserwację uczestniczącą, owo zbieranie się w cudze piórka: „Długie buty, se-

dziwa okrywka i sfatygowany parasol nie odróżniają mnie zbytnio — pisze Reymont. — Nikt na mnie, jak chciałem, uwagi nie zwraca”. On natomiast zwraca uwagę na wszystko, po równi dużo miejsca poświęcając szczegółowemu opisowi rzeczy (...) — co opisowi barwnych typów ludzkich, grup społecznych i zbiorowych zachowań, przy czym rozwarstwienie klasowe jawi się obserwowanemu jako suma obyczajowych szczegółów: ci w łapciach, tamci w kamazach; ci „bezdennie rozkładają się na słońcu”, tamci „poszukują cienia i lawek”.

No, i owo dzieło, koronujące twórcze życie Reymonta: „Chłopi”, które mimo zwietrzałych aktualności jest wciąż żywe i wciąż aktualne, bo pozwala odkrywać coraz to nowe prawdy o człowieku. „Chłopi” są epopeją, a epopeję, pisał Wojciech Bąk, jest zawsze „bajką o pięknie skomplikowanym życiu i kończy się okrzykiem uznania dla niego”. Epik stwarza hymn pochwały życia, „nie moralizujący ani społecznikujący, ale moralny w zasadzie i pełny zrozumienia dla istoty społecznej człowieka”.

Turniej skierniewicki, którego znaczenie i wartość podkreślił w końcowym słowie dyr. Biblioteki Woj. Edward Siekowski, odbył się prawie w tym samym czasie, co odsłonięcie pomnika Reymonta w Łodzi. Bardzo to ciekawy i ładny zbieg okoliczności.

TADEUSZ PAPIER

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREIDICH, EUGENIUSZ IWANICKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RYKOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAZYNA SZYPOWSKA (redaktor techniczny). Stałe współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BLĄŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI, ANDRZEJ MAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK, EWA NURCZYŃSKA, WŁADYSŁAW ORŁOWSKI, JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ, KRZYSZTOF POGORZELC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPANIK, JANUSZ SZYMAŃSKI-GLANC, JERZY URBANIKIEWICZ.

HISTORIA JAKICH MAŁO

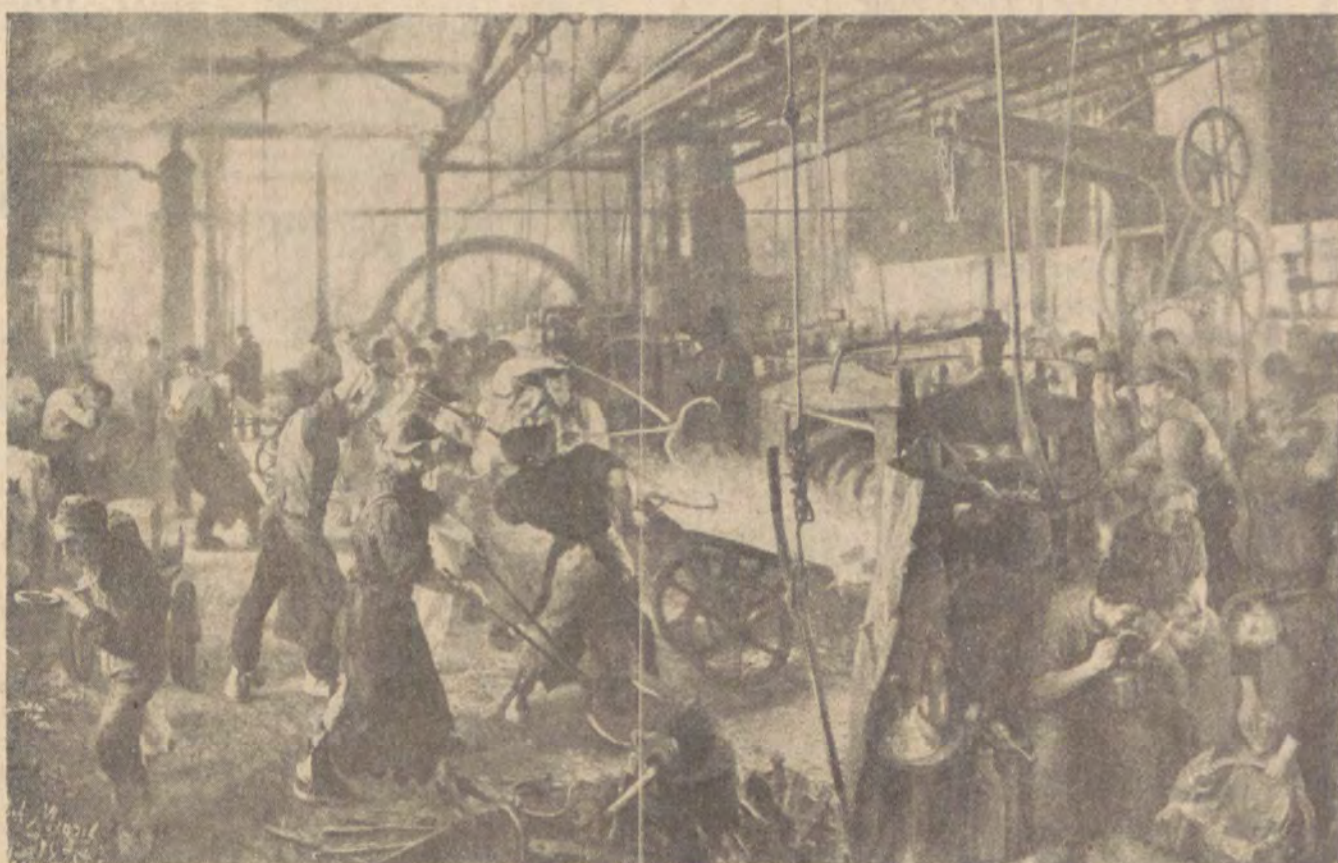
„Historia jakich mało — opowieść o Karolu Brzostowskim” — pod takim tytułem Telewizja nadała 21 września br. w programie II (o godz. 18.15) program historyczny, poświęcony życiu i działalności jednego z najwybitniejszych polskich reformatorów społecznych i gospodarczych z ubiegłego stulecia. Obecnie otrzymaliśmy do rąk książkę o bohaterze tego programu: piękne studium Juliana Bartysia zatytułowane: „Czerwony hrabia — Karol Brzostowski”, któremu wzorową szatę edytorską zapewniło Wydawnictwo „Iskry” (1978). Monografia ta rzuca wiele nowego światła na wciąż mało nam znane dzieje wysiłków i inicjatyw, podejmowanych w XIX stuleciu przez światło i energiczne jednostki, w celu wydzignięcia kraju ze stanu zacofania i modernizacji stosunków społeczno-gospodarczych w Polsce.

Z pewnością lepiej, aniżeli Karola, znamyśmy do niedawna jego rodzinną historię. Ks. Pawła Brzostowskiego, którego imię związane jest ze sławnym Pawłowem. Inicjatywy stryja, podobnie jak prace innych wybitnych działaczy na polu społecznym i gospodarczym — Stanisława Staszica, Joachima Litawora Chreńtowieza, gen. Ludwika Michała Pacy — stanowiły żywą tradycję, z której szeroko czerpał Karol Brzostowski. Korzystał wszakże nie tylko z niej; jako człowiek wykształcony o szerokich zainteresowaniach, często sięgał do dorobku obcych — zwłaszcza francuskich i angielskich — myślicieli społecznych, działaczy gospodarczych i wynalazców. Nie przenosił wszakże obcych wzorów bezkrytycznie na grunt polski; modyfikował je, adaptował, zmieniał, zgodnie z miejscowymi warunkami oraz celami, jakie przewidywał jego własnej działalności. Działalność w okresie dla wszelkich inicjatyw najsłabszym, mianowicie — jak podkreśla to J. Bartys — „w czasach nasilonych represji zaburców, wywołanych powstaniem listopadowym, w kraju rozdartym zaburcami, czynnie strzeżonym przez zaburce wojska i obcą administrację upatrującą w każdej formie, a nawet zamiarach zrzeczenia się przedstawicieli jakiegokolwiek warstwy społeczeństwa polskiego, spisek antypaństwowy”. W odróżnieniu wreszcie od innych naszych reformatorów gospodarczych, z których większość była ludźmi maletnymi, Karol Brzostowski startował — jak podkreśla J. Bartys — „właśnie z punktu zerowego”, posiadał bowiem obdużone powyżej wartości dobra leżące na od-

ludzi, ziemi niskiej klasy, w okolicach, gdzie chłopska niedza była zjawiskiem powszechnym.

Osobista biografia Karola Brzostowskiego nie fascynuje wielkimi, spektakularnymi czynami. Urodzony na Wileńszczyźnie w 1798 r., ukończył on szkoły w Wilnie i we Francji. W wieku 20 lat rozpoczął służbę wojskową w stopniu porucznika, ale już w 4 lata później widzieliśmy go znowu w dobrach szlacheckich, w skromnym dworze w Cisowie, jak toczył uroczyste walki z licznymi wierzycielami. Był wówczas — jak pisał historyk — „ziemianinem bez ziemi”, a stan ten miał trwać jeszcze długo; dopiero pod koniec życia wyzwoili się K. Brzostowski od pretensji wierzycieli. Krótkim epizodem w jego życiu był udział w powstaniu listopadowym i pobyt na emigracji. Był tym z wyjątkiem, który przetrwał carską amnestię i wrócił do kraju, uważając widać, że będzie to z wielkimi pożytkami, niż tuląc się na wygnaniu. Z nadwyznaczonym zdrowiem wyjechał w 1853 r. w swą ostatnią podróż do Parw. Zmarł tam 25 lipca następnego roku.

Nie na działalność wojskową ani też na aktywność polityczną, polegała zasługa, położona przez Karola Brzostowskiego dla kraju. Jeszcze w dobie Królestwa Polskiego oczynszował on wszystkich chłopów w swoich dobrach, rozpoczął tworzenie zakładów przemysłowych, w których dawał chłopom zatrudnienie. Podjął też — jak podkreśla J. Bartys — „planową i kompleksową pracę nad pełnym zagospodarowaniem gruntów dworskich i chłopskich, opierając się na postępie technicznym i uprzem-



słowieniu dóbr”. Właśnie dzięki temu oczynszowanie nie zakończyło się fiaskiem, jak w tylu innych majątkach, ale przyczyniło się rzeczywiście do rozwoju stosunków społeczno-gospodarczych i kulturalnych na wsi.

W swej bogato udokumentowanej książce Julian Bartys przedstawia działalność Karola Brzostowskiego w trzech płaszczyznach. Prezentuje mianowicie jego dorobek w dziedzinie unowocześnienia rolnictwa w dobrach szlacheckich, kładąc przy tym nacisk na wprowadzenie zmianowania zasiewów oraz uprawy nowych roślin, na mechanizację pracy w gospodarstwie wielkim, racjonalizację budownictwa wiejskiego oraz specjalizację w hodowli i rolnictwie. Omawia inwestycje przemysłowe w dobrach szlacheckich, takie mianowicie jak utworzenie tam hute szkła, odlewnie metali, fabryki maszyn rolniczych, zakłady przemysłu rolnospożywczego, wreszcie zagadnienia organizacji pracy i zbytu produkcji przemysłowej. Historyk przedstawia wreszcie reformy społeczno-gospodarcze, zaprowadzone przez Karola Brzostowskiego, które przekształciły jego dobra w Rzeczpospolitą Sztabińską obejmujące oczynszowanie i uwłaszczenie chłopów, zaprowadzenie wielkiego samorządu, elementarnego i zawodowego nauczania, emerytur i opieki nad ludźmi niezdolnymi do pracy, bezpłatną opiekę lekarską oraz inne urządzenia. Rozkwit Rzeczpospolitej Sztabińskiej przyniósł na lata 1845–1855 i został uwieczniony decyzjami testamentowymi jej twórcy.

„Wspólnota szlachecka” — powiada historyk — była wówczas przedmiotem podziwu wszystkich postępowych kół społeczeństwa polskiego, a nawet konserwatywnych sfer ziemiankich. Niektórzy postępowi działacze polscy wiązali wiele nadziei z powstaniem Instytutu Sztabińskiego na rozprzestrzenienie się w kraju niektórych

przynajmniej wzorów i urządzeń tej wspólnoty.”

Jaka ocena winien zaprzędnować historyk, który stał przed takim zjawiskiem, jak Rzeczpospolita Sztabińska? Sprawa nie jest bynajmniej prosta. Z formalno-prawnego punktu widzenia był K. Brzostowski do śmierci właścicielem dóbr, rozwijających się na drodze typowo kapitalistycznej, w których — jak pisze Julian Bartys — „cała wartość dodatkowa z produkcji wypracowanej przez najemnych robotników i dzierżawców wędrowała przecież do kasy dworskiej”. W oparciu o tego rodzaju argumenty można, jak podkreśla historyk, zaliczyć Karola Brzostowskiego „do postępowych gospodarzy obszarów i kapitalistów”. Ale to tylko jedna strona prawdy o Rzeczpospolitej Sztabińskiej i jej twórcy. Rozwiał on ogromne przedsiębiorstwo podług zasad ekonomicznej rentowności, z czego nie sposób mu czynić jakiegokolwiek zarzutu. Rosnących dochodów nie wykorzystywał jednak na swe własne potrzeby — był człowiekiem nader skromnym, stroniącym od stylu życia swych klas społecznych — a bezpośrednio przed śmiercią cały zgromadzony z wielkim trudem majątek zapisał chłopom i robotnikom. Z pewnością racie ma Julian Bartys, kiedy doszukuje się w dążeniach swego bohatera silnych wpływów idei socjalizmu utopijnego.

Uczony powiada:

„Wspólnota Brzostowskiego w całości jest przykładem umiejętnie interpretacji praktycznej, stosownie do możliwości i ram określonych przez władzę zaborczą i panujący ustrój społeczno-gospodarczy, poglądów i wskazań (lecz tylko niektórych możliwych do przemyślenia) socjalistów utopijnych, głównie Rousseau, Saint-Simona i saint-simonistów, w najmniejszym zaś stopniu Fouriera (fa-

lanstery). Podobnie jak Staszic, również Brzostowski umiał zamaskować rzeczywiste założenia ideologiczne i organizacyjne tworzonej wspólnoty pod sztyłem instytucji produkcyjno-samopomocowej. Stworzył pewnego rodzaju państwo w państwie, rządzone odmiennymi, postępowymi prawami zmierzającymi do zniesienia wyzysku człowieka przez człowieka i stworzenia dobrobytu dla ludzi pracy.”

My, Polacy, umiemy cenić — czemu nieraz dawaliśmy wyraz — tych wszystkich, którzy zasłużyli się Ojczyźnie na polu bitwy, w wojnach i powstaniach w walce o niepodległość. Potrafiśmy też ocenić właściwe wkład, jaki wniosły do naszej rzeczywistości pokolenia rewolucjonistów, walczących o nowy kształt społeczny kraju. Nie zawsze — jak się zdaje — umiemy wszakże dobrać się na adekwatną ocenę ludzi, którzy położyli trudne do przecenienia zasługi na innej drodze. Nie zawsze wszak byli lata walki, nie zawsze też obiektywne warunki naszej egzystencji sprzyjały rozwojowi dążeń rewolucyjnych. W najtrudniejszych chwilach życia narodu — a do takich należała przecież epoka, w której działał Karol Brzostowski — nieraz jedyną owocną formą działalności społecznej była u nas skromna i cicha „praca organizacyjna” reformatorska, wynalazcza, dążąca krań do wiekowego zacofania. Jej bohaterem — godnym przypomnienia — był właśnie Karol Brzostowski, twórca zadziwiającej nie tylko w kategoriach jego czasów instytucji Sztabińskiej.

Warto przeczytać piękna książkę Juliana Bartysia. Warto zastanowić się nad sylwetką jej bohatera. Warto też, by telewizja powtórzyła raz jeszcze swój udany program, poświęcony Karolowi Brzostowskiemu.

HELENA BOGUSZEWSKA (1886 — 1978)

W wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat zmarła w Warszawie Helena Boguszevska, wybitna powieściopisarka, a także działaczka społeczna i oświatowa, całe życie angażująca się po stronie pokrzywdzonych. Choć od dawna nie ukazywały się już jej nowe książki, cały czas obecna była w literaturze polskiej dwudziestego stulecia, a jej twórczość, nawet te najwcześniejsze, zlekceważone niegdyś przez krytykę, z perspektywy lat nabrały blasku.

Helena Boguszevska była córką znanego religioznawcy a zarazem geografa Ignacego Radlińskiego, który przyjaźnił się z Wacławem Nal-kowskim, ojcem pisarki Zofii. Krag przedstawicieli radykalnej inteligencji, z którym Boguszevska zetknęła się we wczesnej młodości, wywarł niemały wpływ na wybór jej drogi życiowej. Nie dziwnego, że przyszła autorka „Calego życia Sabiny” zdecydowała się na działalność pedagogiczną, jako tę dziedzinę, gdzie najpełniej można było realizować postulat wychowania nowego człowieka. Boguszevska wydaje podręczniki dla szkół podstawowych, głównie z dziedziny przyrody, co było zgodne z kierunkiem jej wykształcenia. Zaczyna także ogłaszać broszury z dziedziny pedagogiki stając się jako znaczący ich światła. Wydaje wówczas m.in. „Co się należy dzieciom” i należąca do tego samego nurtu broszurę „Życie dzieci”.

Te zainteresowania będą towarzyszyły jej i w późniejszej drodze ży-

ciowej. Już jako wzięta powieściopisarka ogłasza cykle reportaży o dziełach ośmiennalich, wśród nich głośno „Dzieci znikąd”.

Od samego też początku przejawia zainteresowanie „literaturą faktu” związując się z czasopiśmem „Świat” i współpracując z „Bluszczem”, „Tygodnikiem Ilustrowanym”, „Wiadomościami Literackimi”, „Kobieta Współczesna”. Na ich łamach drukuje reportaże ze środowisk proletariackich, osobliwie z przedmieść wielkiego miasta. To doświadczenie legło u podstaw działania grupy literackiej „Przedmieście”, której została przewodniczącą. W imieniu grupy tak przemówiła Halina Krahelska: „Dzieło swe buduje Zespół na nowych założeniach metodologicznych, obcych dotąd w świecie literatury pięknej: — wyrzeka się fantazjowania na tematy życia, uznaje obserwację bezpośrednią, rzetelną, wnikliwą i pracowitą za zasadniczy element swej pracy artystycznej”.

To socjologiczne obciążenie nie zabito, na szczęście, wrażliwość Boguszevskiej, która potrafiła przetworzyć obserwację w widzenie artystyczne, któremu podporządkowana została kadencja zdania i kunsztowne wiązania słowne tak charakterystyczne dla pierwszych powieści pisarki. W powieści „Ci ludzie” ukazała proces stacjonowania najuboższej ludności warszawskiego przedmieścia nie tyle przez socjologiczny opis, co przez próbę psychologizacji swoich bohaterów. Kolejna

powieść „Cale życie Sabiny”, zrazu nie doceniona przez krytykę, jest dziś uważana za utwór wybitny, prawdziwie osiągnięcie prozy psychologicznej. Krytyk tak wrażliwy jak Henryk Berezka zauważył w ćwierć wieku od ukazania się pierwszego wydania tej książki:

„(...) Powieść Boguszevskiej znać by można za nasz polski manifest „nowego realizmu” i to z metryką bez mała dwudziestopięciolatnia. Któż się potrafi rozeznąć w naszych polskich paradoksach.”

„Cale życie Sabiny” (1934) jest obok książki autobiograficznej „Czekamy na życie” (1947) najświetniejszym utworem Boguszevskiej.

(...) Jedno jest pewne, że w „Calego życia Sabiny” odsłoniła Boguszevska ostateczną miarę rzeczy i w kategoriach ostateczności niewiele więcej już dalać się o życiu powieść. W tej książce sięgnęła Boguszevska najgłębiej w sprawy życia i najwyżej w sprawy sztuki”.

I dalej:

„Epickość „Calego życia Sabiny” jest równie szlachetna jak epickość „Nocy i dni”, a ma w sobie ponadto coś bardziej powszechnego i odkrywczego artystycznie. Rzeczywistość rekwizytów społecznych i historycznych jest tu zastąpiona rzeczywistością jednorazowych a zarazem powszechnych kształtów świata”.

Na ten wysoki ton nie mogła się zdobyć krytyka okresu międzywojennego widząca w Boguszevskiej bardziej bojowniczkę sprawy proletariackiej (co prawda z mieszczańskich, raczej humanitarnych niż klasowych pozycji) aniżeli pisarkę, pod której piórem rzeczywistość odślaniała swoje prawdziwe oblicze. Działalność Boguszevskiej w Lidze Obrony Praw Człowieka i Obywatela oraz w Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom da-

wała krytyce nowe argumenty, podobnie jak program „Przedmieścia”, które jawnie wprowadzało do literatury aktualne zagadnienia społeczne i polityczne. A był to przecież okres w Polsce dramatyczny — lata wielkiego kryzysu. Na zachodniej granicy rósł w potęgę hitlerizm, a naszym okazywał się zaraźliwy. Nie dziwnego, że pisarze związani z „Przedmieściem” znaleźli się w szeregu jednolitego frontu ludowego, który usiłował przeciwstawić się wpływom faszyzmu.

Częściowo pod wpływem swego drugiego męża, także pisarza, Jerzego Kornackiego, Boguszevska radykalizuje się także jako autorka. Wydana wspólnie z nim powieść „Jadą wozy z cegłą” (1935) jest próbą odpowiedzi na aktualne zagadnienia społeczne: ukazuje w niej węgietację proletariatu i postępującą pauperyzację drobniomieszczaństwa, co było naturalnym następstwem przedłużającego się kryzysu gospodarczego. Kolejna książka „Wisła” jest właściwie zbeletryzowanym reportażem poświęconym ludziom największej polskiej rzeki.

Ambicje pisarstwa politycznego ma cykl powieściowy „Polonez”, w którym Boguszevska wspólnie z Kornackim przeprowadza ostrą krytykę stosunków w międzywojennej Polsce. Choć ostateczny rezultat artystyczny tej próby był raczej niski, cykl ten jest ważny, gdyż jako jedna z pierwszych książek w literaturze światowej unaczynia grozę hitlerizmu. Ale na wymowie całości zaciążyło chyba zbyt mocno, nieco doktrynerskie trzymanie się postulatów sformułowanych przez „Przedmieście”. Działalność tej grupy poświęci Boguszevska jedną ze swych ostatnich książek „Zielone lato 1934”.

Okres okupacji spędziła Boguszevska w Warszawie biorąc udział w pracach Krajowej Rady Narodowej,

do której została posiem. W roku 1944 została członkiem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, działała jednocześnie w Głównej Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich. Rezultatem tamtych doświadczeń są dwie książki „Poprzez ulicę” (1961) oraz „Nigdy nie zapomnę” (1946). Napisała także powieść o tematyce okupacyjnej „Las” (1953).

Charakterystyczną twórczość pisarki Kazimierz Ptak stwierdził: „Boguszevska i Kornacki należą do rzędu artystów „autentycznych”, ujawniając w powieści perspektywę nowej świadomości, odsłoniłi jednocześnie załamywanie się indywidualizmu mieszczańskiego”.

Bohaterowi z nizin społecznych pozostała Boguszevska wierna do końca. Jako łodzianin musimy pamiętać, że zmarła pisarka jest autorką wspaniałego reportażu pt. „Wiłkniarze”, który wyrósł z postulatów „Przedmieścia”, ale ma zupełnie indywidualną realizację i jest wstrząsającym zapisem życia robotników z Księstwa Młyna. Życiu łódzkich, proletariackich dzieci poświęciła też Boguszevska swoją powieść „Czerwone węże”, w której ukazała solidarność wiłkniarzy ze strajkującym Śląskiem. Któż z nas nie pamięta zabiedzzonej Władki Markowskiej z Huty Królewskiej, która trafia „na odpasienie” do łódzkiej rodziny Stasiaków, pracujących gdzieś u Szajbiera. Blisko dwadzieścia wydań tej powieści, na której wychowują się kolejne pokolenia czytelników, dowodzi, że pisarstwo Heleny Boguszevskiej pozostało żywe i znalazło sobie trwałe miejsce nie tylko w literaturze polskiej, ale w sercach odbiorców. A to jest największy sukces pisarki. Potrafiła ona bowiem przedmieście uczynić całym światem.

KONRAD FREIDLICH

JERZY WALEŃCZYK

EPOKA JESZCZE NIE ZAMIERZCHŁA

Czekają na mój odruch serca,
ale serce nie chce reagować,
a kiedy dają do zrozumienia,
że jestem spóźniony, odchodzę
od okna, przypominając sobie
epokę jeszcze nie zamierzchłą.

WIDZIAŁEM STÓG SIANA

Widziałem stóg siana
wysoki jak chmura,
wysoki jak posąg Buddy,
widziałem stóg siana,
jego zapach był tak piękny
jak zapach wschodzącego słońca,
i jak zapach mleka z udoju wczesnego,
widziałem stóg siana,
był tak wspaniały,
że zaćmił moje wyobrażenia o życiu,
widziałem stóg siana,
albo wyobrażałem sobie,
że go widziałem.

DZIEŁO SZTUKI

Dzieło sztuki zależy
od gwoździa na ścianie,
sceny batalistycznej
mogą być na cienkim gwoździu,
portrety na cokolwiek grubszym,
nawet na parocelowym,
np. portrety wodzów słynnych,
krajobrazy, landszafty
mogą być na gwoździkach,
skądinąd nadających się do
zawieszania abstrakcji,
oczywiście nie trzeba używać
gwoździ z drzewa Jezusa Chrystusa
do zawieszania na ścianie
kobiet Modiglianego,
artysty biednego, oszukanego
przez cynicznych pośredników,
powołujących się na serce Jezusa.

PAMIĘĆ PROFESORA HISTORII JOACHIMA LELEWELA

Zapach dymu przychodzi z tego domu,
jest to zapach Białorusi suszonych kwiatów,
zapach dymu unosi się, kiedy nasze wyobrażenia
skrzypią jak sprężyna tapicerska, jak
deska na strychu, jak gniazdo jaskółcze,
jak porzucony garnek, jak łyżka duża, jak
stolek, na którym siadają stare kobiety
pod wymogami, bezradne, profesora Joachima
Lelewela.



Jerzy Waleńczyk

Dziewięć lat musielismy czekać na nowy zbiór wierszy Jerzego Waleńczyka; ponieważ poeta nie publikował również w prasie, przeto milczenie to utożsamiano z odłożeniem pióra. Peregrynacje witamy więc z zadowoleniem, tym bardziej, że są zbiorem prezentującym odrębność sprawy Waleńczyka na tle współczesnych postaw poetyckich, że świadczą o dojrzałym umyśle i gruntownej samoświadomości autora. W sensie problemowo-tematycznym stanowią kontynuację zbiorów poprzednich, natomiast prawdziwym novum są dwa traktaty o poezji: *Do Arystotelesa* i *Zdania o Eliocie*. I od nich winno się zacząć lekturę *Peregrynacji*, jako że doskonale wprowadzają w świat poetycki Waleńczyka.

W pierwszym z nich wiedzie spór z teorią o mimetycznym charakterze poezji, wplatając w refleksje nad sensem retoryki w poezji współczesnej: „Drogi Arystotelesie! Mam niejakie kłopoty z retoryką. Jakie słowo ma nadejść za słowem, jakiej figury użyć, jakich składni? Co mi poradzisz, jakie rytmy stosować, bo czasy są niepewne i nie wiadomo jak i czy też chytrze sztych, bo niepewność i wątpliwość miesza się do sztychu zdania”. W wierszu *Sztuka słowa* stwierdza, że „retoryka jest bardziej szczęśliwa niż mądra”, posiada bowiem tę właściwość, że to, co swoiste, przekształca w typowe, indywidualne w uniwersalne i dlatego „Arystoteles pracuje bardziej na nas niż sobie wyobrażamy”. Retoryka to porządek, to świadectwo panowania intelektu nad żywiołem wyobraźni, jeśli więc poeta kieruje ku niej westchnieniem, to znaczy, że ma kłopoty z uporządkowaniem w wierszu otaczającej go rzeczywistości. Niepewność i relatywizm epistemologiczny rozsądza gorset retoryki, ujawniając bujną sferę zmysłowości; każdy system, każdy schemat prędzej czy później rozpada się pod jej naporem. Uświadomienie sobie własnej bezsilności (na uświadomienie owo składają się również doświadczenia minionych pokoleń) prowadzi do

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

KONFORMISTYCZNA POSTAWA POETY

przyjęcia konformistycznej postawy względem natury, ściślej — zjawisk i procesów naturalnych. W drugim z rzeczonych traktatów pisząc o autorze *Czterech kwartetów* wyjaśnia jednocześnie swoje stanowisko: „Eliot jest konformistą. Cieszę się, mówię, że sprawy są, jakie są. Ten konformizm to konformizm współczesnego człowieka, który wie, co znaczy współczucie, przyjaźń, dobroczynność. Konformizm Eliota to konformizm zrozumienia sensu przemijania”.

Poeta zatem przystaje na świat rzeczy i jego porządek. Dobitny temu dał wyraz w *Elegii konformizmu* (*Biały telefon*, 1965), w której poezja jest z emocjonalnym odbiorem świata, z pragnieniami dokonywania zmian, jak to miało miejsce w *Blaszanych kogucie* (1959):

Świecie płonący!
Ja nie chcę być układnym,
nie zgadzam się z tobą
(...)
Nie litości oczekuj. Nieba
są łaskawsze
Dla tych, którzy nie proszą.

Z tomiku na tomik dawał się zauważyć nieustający przybór faktów, konkretnych, rzeczy; one to zwyciężyły. Zmieniła się więc tonacja uczuciowa: niepokorny indywidualista stał się jednym z wielu, quidam, rozumiejącym innych i współczującym. Poczucie własnej znikomości i zbudności w ogromnym mechanizmie świata przyczynia się do kurczowego trzymania się rzeczy i empirii, one bowiem gwarantują mieszczańskie poczucie bezpieczeństwa. Nie pierwszy to w Polsce poeta, który tak skromnie ocenia swoją osobę i własne możliwości. Przypomnijmy sobie Gałczyńskiego *Notatki z nieudanych rekolacji paryskich*:

Nie mogę. Zrozumiem. Jestem mały
urzędnik w wielkim biurze
świata,
a Ty byś chciał, żebym ja
latał
i wiarą mą przenosił skały.
Nie mogę. Popatrz: to me
dzieci,
śliczna kanapa i dywanik,
i lampa z abażurem świeci,
i gwiazdka malowana na nim.

Waleńczyk w wierszach takich jak *Buty z jaszczurzej skóry* czy *Szary człowiek medytuje nad kupnem butów*, ubrania, płaszcza, gdy tymczasem

Henry Kissinger jedzie przez ocean
odrutowcem a za nim
odrutowców straż
słońce świeci nad Azją jak
nowojorski neon
pan Kissinger bez nakrycia
głowy i bez bagażu.

Poeta przystaje na życie szarego człowieka, wie, że „nie przeskoczy siebie”, żyje na miarę codzienności, która składa się w przytłaczającej wielkości ze spraw białych i wal-ki o biologiczną egzystencję. Życie to znamionuje się chaotycznością i bylejakością, i w tym właśnie tkwi jego uroda, że odbiega od wszelkiej logiki, że przypadek i tajemnica zaskakują nas w sytuacjach pozornie prostych. Źródłem tej poezji jest więc codzienność, sfera przeżyć i uczuć najprostszych. Ten zwrot ku rzeczom, reizm poetycki charakterystyczny jest dla generacji wstępującej do literatury po 1956 roku. W świecie, w którym wszystko się relatywizuje, w którym dewaluują się ideologie, jedynie rzeczywistość przedmiotowa tworzy możliwe pewny grunt i od niej poeta rozpoczyna „nowe stwarzanie światów”.

Waleńczyk jest poetą głębokiej pokory; trwa w ciągłym urzeczaniu bogactwem i wielorakością Stworzenia. Podobnie jak Pascala bardziej go prze-raża Stworzenie aniżeli Stwórca, modli się zatem żarliwie, jak mało kto w poezji, współczesnej, o pogodzenie się z życiem, o spokój, o Łaskę. Skoro potrafi się modlić, więc nie-obecna jest mu sfera transcendencji, czyli że teza o wyłączności świata rzeczy okazuje się bardzo ryzykowna. Pytania ponieszonego nie powstydziłby się żaden mędrzec:

Jak można, Boże, być
prochem i Tobą
jednocześnie,
Który mieszkasz we mnie,
rzeczywistość we śnie.

Tylko Bóg jest prawdziwy, reszta to sen, obszary złudzeń świadomości. Wobec tego w samym świecie rzeczy nie ma miejsca ani na pokorę, ani tym bardziej na pychę. Wszystko posiada jednaką wartość, zakładając oczywiście istnienie Absolutu. A jeśli już pokora, to franciszkańska, w łączności ze współczuciem, zrozumieniem,

z miłością jako energią kosmiczną. Atoli więc przez konformizm ów winniśmy rozumieć zasadę egzystencji, winniśmy traktować go jako imperatyw moralny. W tym momencie może narodzić się pytanie: czy to nie zwykły minimalizm życiowy? Z pewnością tak, jeśli nie uwzględnimy całej twórczej drogi Waleńczyka. Do tej postawy i jednocześnie zasady doszedł poeta w okresie, kiedy rozumiał, jak nikły wpływ na bieg historii ma on jako jednostka. Dokonał tedy przeobrażenia z czasu historycznego do czasu absolutnego, w którym powtarzają się odwieczne powroty czynności i najróżniejsze, a wciąż te same zachowania ludzkie. Być w historii to być nieustannie czujnym, aktywnym, także bezwzględnie, gdyż działa się w imię wyższych racji społecznych, w efekcie najczęściej godzących w godność człowieka. Nie ma powrotów do natury, można natomiast odnaleźć się w zwykłej powszedniości, umieć być przeciętnym. Zaisła niepospolita to postawa — być przeciętnym. To też heroizm, zwyczajny świadome działanie w tym kierunku.

Oczywiście można nie zgadzać się z tym stanowiskiem, ale nie można odmówić mu pewnych racji, a co najważniejsze w tym przypadku — znakomitego wyrazu artystycznego. Prawdziwe mistrzostwo formalne w pozornej mimowolności i niedbałości, jeśli chodzi o kompozycję utworu lirycznego. Wprawdzie Waleńczyk niejednokrotnie daje zbyt wielki upust swobodnemu tokowi skojarzeń, balansując na granicy między ładem a chaosem. Bywa i niekonsekwentny; zaczyna na przykład wiersz strofami sylabicznymi, potem gubi regularność, by w końcu doń powrócić, jak to dzieje się chociażby w *Pieśni o jaworach ze Zduńskiej Woli*, teście zresztą przegadanym. Ale „lwi pazur” pokazuje w tych utworach, w których roztacza silva rerum i zaskakuje wówczas nieoczekiwanymi skojarzeniami, ironią, bliskim humorem, anegdota, znakomite uogólniające puentą (wiersze: *Jak długo, Jak rozumieć nadzieję*, *Co lepsze rymy itd.*). To niespodziewane asocjacje zmuszają do bacniejszego odczytywania tych niby niedbale wylizanych i opisywanych konkretnych, konkretnych stwarzających metafizyczne sytuacje. Czyżby więc realizm magiczny?

Jerzy Waleńczyk, *Peregrynacje*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978, s. 102.

RYSZARD DOROBA

KAMIEŃ

Kamień towarzyszył ci przez całe życie — od jego początku aż po sam kres.

To on, zwykły polny kamień, toczony przez wody odległych epok, był podstawowym budulcem twojego rodzinnego domu, w którym wydałeś swój pierwszy krzyk — krzyk radości narodzin. Foremne kamienie, rozważnie wybrane spośród wielu zalegających pola twych pradziadków, oznaczały czterema narożnikami kształt tego domu, określając jednocześnie i twoje miejsce na ziemi.

W domu tym stawałaś pierwszą kroki, zanim mogłeś samodzielnie przestąpić jego próg i postawić stopę na dużym, płaskim kamieniu wkopanym na przedprożu, i nawet poza domem stanął na twardym, pewnym gruncie.

I na nim, wysłizgany stopami pokoleń na domowym twoim kamieniu, owiewały cię wiatry pierwszej twojej wiosny, niosąc od pól nieznaną ci jeszcze zapachy parującej ziemi. Z tego kamienia zdziwionymi oczami patrzyłeś na rozległą przestrzeń przed

rodzinnym domem, pełną blasków i migotań, na nim poznawałeś domowe ptaki i uczyłeś się rozróżniać ich głosy. Ten kamień różnił ich głosy. Ten kamień różnił ich głosy. Ten kamień różnił ich głosy. Ten kamień różnił ich głosy.

A potem z tego kamienia ruszałeś samodzielnie odkrywać początkowo najbliższe, a potem coraz to dalsze okolice twojego domu. Oddalałeś się od niego coraz bardziej, ale zawsze wracałeś, niosąc pod powieką obrazy nowych miejsc, oszołomiony i znudzony różnorodnością poznania. Wracałeś z coraz to dalszych wędrówek otrzepywając na przedprożnym kamieniu kurz i błoto przemierzonych gościńców i przekraczałeś próg twojego domu, aby dać odpocząć zdruzgotanym nogom.

Mijały lata... Z chłopca stałeś się już prawie mężczyzną, kiedy na kamieniu przed progiem twojego do-

mu zatopowały ciężko podkute buty, a potem — pchnięte brutalną ręką — z trzaskiem rozwały się drzwi i ujrzałeś wycelowane lufy pistoletów. Jak zahipnotyzowany patrzyłeś w małe otworki tych luf, prawie nie dostrzegając tych, którzy je skierowali do wnętrza twojego domu. Dlatego nie zachowałeś w pamięci ani twarzy pod stalowymi hełmami, ani bliznyjących blach na piersiach, ani śliskich gumowych płaszczy w kolorze zgnitej zieleni. I tylko dlatego, że po chwili lufy pistoletów opadły ku ziemi, bo trzymający je żołdacy musieli zwolnić ręce, aby wywlec nimi twojego ojca za próg

własnego domu, pamiętałeś jego spojrzenie, które ci przesłał odchodząc — jak się okazało — na zawsze.

Od tej chwili stałeś się prawdziwie dorosły. Z domu wychodziłeś już nie po to, żeby cieszyć się światem, bo świat nagle przestał być piękny. Przygasił i jakby zszarzał, tracąc wszystkie swoje barwy, stał się zimny i obcy. Aby kiedyś odzyskać swą urodę — jeśli nawet nie dla ciebie, to dla innych — oddałeś się sprawom, które stały się udziałem wszystkich, czujących tak samo, jak ty. Współ z nimi podjąłeś działania, wymierzone przeciwko tym, którzy zakłócali

porządek świata i zadali gwałt jego sprawiedliwym prawom. Wierzyłeś, że nakaz takiego działania przesłał ci ojciec ostatnim spojrzeniem i czynił wszystko, aby jak najlepiej się z niego wywiązać.

Nie oszczędzałeś się wcale i pewnie z tego powodu po niewiele miesiącach kamienne przedproże twojego domu powtórzyło odgłosy spiesznych stąpnień takich samych żołdackich butów. Przekraczając tej nocy po raz ostatni próg rodzinnego domu nie dotknąłeś jednak stopą domowego kamienia, bez przytomności ciągnięty po ziemi.

Na nogi stanąłeś dopiero w obcym, dalekim kraju. W nim przyjaźne ci dotąd kamienie stały się twoją udręką. Rwał je z litej skały kamienioloemu od świtu do zmierzchu wielu długich, jak wieczność dni, krwawym potem znaczyłeś szczyfową drogę twych zmagających się sił. Chcąc zachować ich nędzny ostatek, ocalały w nierównej walce z naporem kamiennego morza, w którym tonąłeś coraz głębiej i głębiej, zde-

cydowałeś się na rozpaczliwą ucieczkę. Ale nogi, uginające się nawet pod własnym twoim ciężarem, nie zdołały przeniesić cię przez kamienne przeszkody. Potknąłeś się już na pierwszej i na tym obcym, nienawistnym kamieniu dosięgła cię śmiertelna kula.

I pozostałeś tam, z dala od rodzinnego domu i kości twoich przodków, nie w sygniel, miękkiej ziemi, przesyconej zapachem butwiejących traw, lecz w twardej niszce po wybranym kamieniu, przysypany kamieniem tużniem przez twoich współtowarzyszów, czyniących ci ostatnią postugę. Nikt nie znalazł miejsca twojego spoczynku, bo nie znał go kamień z wyrzniętym imieniem i nazwiskiem. Bez śladu utonąłeś w kamiennym, nieruchomym morzu.

Teraz, po latach, gdy patrzę na użyteczny kształt rodzinnego kamienia, zda mi się on być twoim prawdziwym pomnikiem nagrobnym, przekazującym pamięć o tobie. I wiem, że na taki pomnik zasłużyłeś.

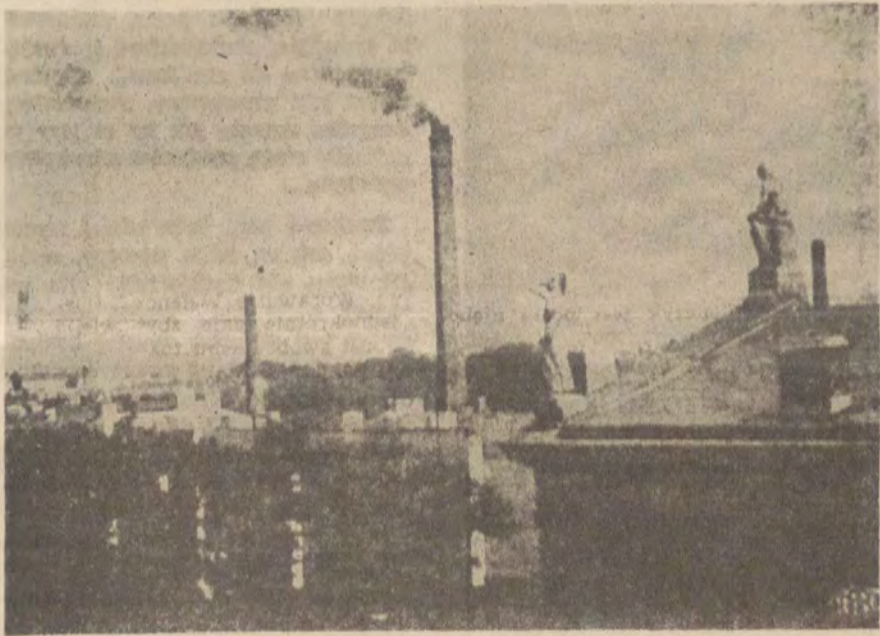
DRUGA NOC LISTOPADOWA

Dalszy ciąg ze str. 1

dotkliwie odczuwana przez szerokie warstwy ludzkie.

10 sierpnia 1914 roku Komitet Obywatelski stał się nagle jedyną władzą w mieście. A doszło do tego w ten sposób, że 40 pułk Niemieckich Dragonów zdobył kilka niemieckich „michelhaub” i dronów wystrzelił się w nie dla śmiechu. Kiedy ich z daleka zobaczył wójt z Łuźmierza, wysłał do Łodzi wiadomość o zbliżaniu się Niemców. Administracja i policja carska czmychnęły i w ciągu trzech dni komitet był jedyną władzą w tym mieście. Po tym czasie wrócił gubernator Jacewski z policją — jak mówiono w mieście — po to, by zatkać kłosać zaległe łabówki.

20 sierpnia 1914 r. ulica Piotrkowska była widowiskiem niezwykłym jak na wojnę wydarzenie. Mianowicie od ulicy Konstantynowskiej do Pabianickiej przebiegał niemiecki oddział dowodzony przez majora Braunsa, a w



niewielkiej za nim odległości posuwał się oddział dragonów rosyjskich. Do strzałów nie doszło.

Parokrotnie miasto zajmowali kolejno Rosjanie i Niemcy, aż ci ostatni osiedli tu do końca wojny w następstwie wydarzeń, zwanego „bitwą łódzką”. Trwała ona od 19 listopada do 6 grudnia 1914 roku. Dla tych łódzian, którzy nie opuścili miasta, były to tygodnie pożarów, pekających szrapneli, głodu i grabieży. Komu tych wrażeń nie starczało, szedł na pobojowiska, gdzie można było sobie obezdrzeć trupy zastępie na mrozie.

Łódzianie wiedza na ogół, że ich miasto służyło jako miasto pracy. Wtedy zyskało sobie sławę wojenną, o której szybko zapomniano. Mianowicie „Frankfurter Zeitung” opublikowała w 1916 roku następującą wypowiedź von Ludendorfa:

„Nazwa „Łódź” na równi z nazwą „Tannenberg” nigdy nie będzie zapomniana w historii wojennej Niemiec. Bitwa łódzka jest kamieniem węgielnym dla powstania wojny i stanowi — śmiało rzecz można — punkt zwrotny w dziejach świata.”

Byłismy więc przez dni 14 piekłem świata, o czym szybko zapomniano. Nasz prawdziwy udział w tych wydarzeniach ograniczał się do 280 zabitych osób cywilnych i około 1.000 rannych. Pociski artyleryjskie rozwalily wtedy około 100 domów.

6 grudnia 1914 r. Rosjanie w mieście nie było, a Niemcy jeszcze strzelali. Wówczas łódzianie w osobie ks. Merkleina wywiesili na kościele Najświętszej Maryi Panny białą flagę. Był więc łódzianie tym trzecim między dwoma bitacymi się i zdaje się ta rola najbardziej im odpowiadała.

Oficjalna władza w mieście sprawował natomiast gen. Gerecht, hakenista, bezwzględny okupant, wyciskający z mieszkańców wszystko co się dało do senników włącznie. Dla niego istnienie Komitetu Obywatelskiego było bardzo wroczne, miał bowiem w ten sposób organ, do którego mógł zwracać wszystkie swoje żądania. Ale jednocześnie stanowiło to u-

znaczenie komitetu za reprezentację Łodzi. Kiedy po 2 miesiącach Gerecht ustępował, jego następcą, polski-präsident, von Oppen, zażądał, by Komitet Obywatelski wziął udział w wieczornym pożegnaniu i wyraził hakenistę serdeczną wdzięczność za zbrodnicze poczynania. Wyciskając właściwe wnioski z faktu, że obowiązywał stan wojenny przewodniczący komitetu, Antoni Stamirowski na uroczystość przyszedł, ale przemówienie jego było maistersztwem zdawkowości, z którego wściekły Gerecht nie potrafił wyłowić ani jednego słowa uznania.

Nadburmistrzem Łodzi został Niemiec o groteskowo w tych warunkach brzmiącym nazwisku: Schoenen. Zapomniany dziś Antoni Stamirowski prowadził wtedy — zdawać by się mogło — beznadziejną walkę o taki byt ludności, o polską szkołę, o polskość i autonomizację Komitetu Obywatelskiego. Był chyba nieprzebiegła indywidualnością, skoro wesoł z innymi członkami komitetu a

tym niemieli Koło Polskie wywalczyło sobie najważniejsze stanowiska w radzie i prawo przemawiania do polski. Radni kontynuując działalność Komitetu Obywatelskiego, z dużą odwagą zdobywali od okupanta żywność dla miasta, zgłaszali ostre protesty wobec zachłanności niemieckiej oraz nadużyć i ten pierwszy zespół oficjalnie administracji Łodzi w trudnych warunkach okupacyjnych ucisku był znakomitą szkołą samorządu, której wpływ sięgnął w lata o wiele późniejsze. Burmistrzem a następnie nadburmistrzem został p. Leopold Skulski i urząd ten w jego osobie przeżywał do odzyskania niepodległości.

Nazajutrz po proklamowaniu przez rząd w Lublinie Polskiej Republiki Ludowej (8 listopada 1918 roku) zaczęły się przed Grand Hotelem w Łodzi demonstracje antyniemieckie. Próba interwencji dokonana przez policję niemiecką, tzw. pałkarzy zawiadła na całej linii, tłum bowiem miał przewagę liczebną oraz był zdecydowany i policjantów rozbił. 10 listopada 1918 r. na wiadomość o rewolucji w Berlinie zbuntowały się wojska niemieckie stacjonujące w Łodzi i utworzyły Rade Żołnierską. Jednocześnie ludność poczęła rozbrajać Niemców. 11 listopada 1918 r. po raz ostatni przyszedł uwieczniony przez Remarque'a komunikat: „Na zachodzie bez zmian”. Grzegorz Timofiejew opisał później ten dzień w książce „Miłość nie zna zwycięstwa”.

— Więc ja podchodzę do Szwa-ba i powiadam: krajegewitter w te i nazad, oddawaj karabiny. A on „gut, gut” i karabin i pas i czapkę, wszystko zdejmuję. Jak Niemcy się bałi! Takie małe szczeniaki co nad rynsztokiem latają rozbrajali niemieckich oficerów.”

Chociaż Komitet Obywatelski został rozwiązany, należy go jednak uważać za zaletek samorządu łódzkiego, a to dlatego, że komitet, prowadząc szeroką działalność administracyjną, powołał do życia cały szereg instytucji takich jak szkolnictwo finansowe, bezpieczeństwo publiczne i inne, które rozwiązywać się, zdał nominowanemu magistratowi jako gotowe wydziały. Magistrat ten działał trochę dłużej niż rok bowiem po akcie 5 listopada 1918 roku proklamującym tzw. niepodległość Królestwa Polskiego, została wydana „ordynacja wyborcza dla miast General-Gubernatorstwa Warszawskiego”, w następstwie której odbyły się pierwsze wybory do samorządu łódzkiego (pomiędzy tu wybory z czasów Wielkopolskiego, nie miały bowiem większego znaczenia). Odbyły się w oparciu o przedziwną ordynację wyborczą, tzw. kurialną. Przewidywała ona podział mieszkańców na kurie. Do pierwszej z nich należeli inteligenści, tzn. ludzie mający za sobą studia wyższe oraz nauczyciele. W kurii drugiej głosowali przemysłowcy w trzeciej rzemieślnicy i właściciele drobnych przedsiębiorstw itd. Skutkiem takiego podziału jeden radny wybierany był

przez 57 przemysłowców, lub przez 1.766 robotników.

W chwili ogłoszenia wyborów rozgorzała namiętna walka polityczna. Jak grzyby po deszczu rodziły się partie polityczne i to nie tylko wśród polskiej części społeczeństwa Polacy zorganizowali się głównie w Polskim Centralnym Komitecie Demokratycznym (tzw. „centralnie ogrzewani”) mającym obojętne germanofilijskie oraz w Polskim Komitecie Wyborczym (tzw. „szerokotorow”) związany z Narodową Demokracją. Niemcy dzielili się na „Łódzer” tych gospodarzo i uczuciowo związanych z miastem oraz szowinistów. Żydzi deklarowali się jako Żydzi-Polacy, a więc jakbyśm to dziś powiedzieli: Polacy pochodzenia żydowskiego, druga zaś grupa nazywana Litwakami, byli to raczej żydowszczyznicy wychowani na wzorach kultury rosyjsko-żydowskiej.

Tak wyglądało to narodowościowe Łódź w trzecim roku wojny. A był to w przybliżeniu setny rok istnienia Łodzi przemysłowej. To miasto rozdane pod zaborem rosyjskim przez wiek stwarzające dożadne warunki zagranicznym kolonistom, cierpiące aktualnie ucisk niemieckiej okupacji wyowiedziało się na wyborach za polskość, pomimo niekorzystnej ordynacji wyborczej. Mandaty radnych uzyskało 27 Polaków 25 Żydów i 8 Niemców. Nawięcej głosów zebrali Polacy w kurii I obejmującej inteligencję oraz w kurii VI, do której należeli głównie robotnicy gdzie trzeba było aż 1.766 głosów na jeden mandat.

„Dziennik „Godzina Polski” nie uważał tego za sukces i ocenił wyniki wyborów jako zwycięstwo list żydowskich, które „ulatwiały” i przywracała karygodną wrośt abstynencja ze strony ludności polskiej, zwłaszcza rzemieślników, sklepikarzy i właścicieli domów z przedmieść. Jednocześnie rezultat akcji wyborczej stwierdził bardzo mały i pozbawiony wpływu odsetek Żydów-Polaków, którzy zresztą nie ponarli zupełnie Polaków, nawet demokratów, zajmując stanowisko separatystyczne.”

Tym niemieli Koło Polskie wywalczyło sobie najważniejsze stanowiska w radzie i prawo przemawiania do polski. Radni kontynuując działalność Komitetu Obywatelskiego, z dużą odwagą zdobywali od okupanta żywność dla miasta, zgłaszali ostre protesty wobec zachłanności niemieckiej oraz nadużyć i ten pierwszy zespół oficjalnie administracji Łodzi w trudnych warunkach okupacyjnych ucisku był znakomitą szkołą samorządu, której wpływ sięgnął w lata o wiele późniejsze. Burmistrzem a następnie nadburmistrzem został p. Leopold Skulski i urząd ten w jego osobie przeżywał do odzyskania niepodległości.

Nazajutrz po proklamowaniu przez rząd w Lublinie Polskiej Republiki Ludowej (8 listopada 1918 roku) zaczęły się przed Grand Hotelem w Łodzi demonstracje antyniemieckie. Próba interwencji dokonana przez policję niemiecką, tzw. pałkarzy zawiadła na całej linii, tłum bowiem miał przewagę liczebną oraz był zdecydowany i policjantów rozbił. 10 listopada 1918 r. na wiadomość o rewolucji w Berlinie zbuntowały się wojska niemieckie stacjonujące w Łodzi i utworzyły Rade Żołnierską. Jednocześnie ludność poczęła rozbrajać Niemców. 11 listopada 1918 r. po raz ostatni przyszedł uwieczniony przez Remarque'a komunikat: „Na zachodzie bez zmian”. Grzegorz Timofiejew opisał później ten dzień w książce „Miłość nie zna zwycięstwa”.

— Więc ja podchodzę do Szwa-ba i powiadam: krajegewitter w te i nazad, oddawaj karabiny. A on „gut, gut” i karabin i pas i czapkę, wszystko zdejmuję. Jak Niemcy się bałi! Takie małe szczeniaki co nad rynsztokiem latają rozbrajali niemieckich oficerów.”

Chociaż Komitet Obywatelski został rozwiązany, należy go jednak uważać za zaletek samorządu łódzkiego, a to dlatego, że komitet, prowadząc szeroką działalność administracyjną, powołał do życia cały szereg instytucji takich jak szkolnictwo finansowe, bezpieczeństwo publiczne i inne, które rozwiązywać się, zdał nominowanemu magistratowi jako gotowe wydziały. Magistrat ten działał trochę dłużej niż rok bowiem po akcie 5 listopada 1918 roku proklamującym tzw. niepodległość Królestwa Polskiego, została wydana „ordynacja wyborcza dla miast General-Gubernatorstwa Warszawskiego”, w następstwie której odbyły się pierwsze wybory do samorządu łódzkiego (pomiędzy tu wybory z czasów Wielkopolskiego, nie miały bowiem większego znaczenia). Odbyły się w oparciu o przedziwną ordynację wyborczą, tzw. kurialną. Przewidywała ona podział mieszkańców na kurie. Do pierwszej z nich należeli inteligenści, tzn. ludzie mający za sobą studia wyższe oraz nauczyciele. W kurii drugiej głosowali przemysłowcy w trzeciej rzemieślnicy i właściciele drobnych przedsiębiorstw itd. Skutkiem takiego podziału jeden radny wybierany był

Scenka z łódzkiej niedoli



Pracownicy oczekujący na otrzymanie zajęcia przed państwowym urzędem pośrednictwa pracy przy Al. Kościuszki.

Istotnie, butni Niemcy okazali się nagle zagubieni, słabi, tchórzliwi. Kapitulowali wobec ludzi powodowanych namiętnością w tych dniach patriotyzmem, wolą swobody, ale dysponujących gołymi dłońmi wobec ich karabinów.

Poważne zagrożenie dla zrzucającego jarzmo niewoli miasta stanowił oddział Wehrmachtu zajmujący koszarę przy ul. Konstantynowskiej. Nie tylko odparł ataki, ale ruszył do śródmieścia w szyku bojowym. Czego wówczas nie było w stanie dokonać powstające z niczego polskie siły zbrojne, dokonała mądrość polityczna polskich władz w Łodzi. Nawiązały one kontakt z niemiecką Radą Żołnierską i zaproponowały swobodny powrót do Niemiec w zamian za przekazanie władzy w mieście Polakom. Rada przyjęła propozycję, jej przedstawiciele udali się do rejonu walk w al. Kościuszki i skłonili ów oddział do kapitulacji. Walki ustały.

W nocy z 11 na 12 listopada 1918 r. burmistrz Skulski przyjął od niemieckiej Rady Żołnierskiej kapitulację, której dokument miał następujące brzmienie:

„Delegat Rady Żołnierskiej wojsk niemieckich garnizonu łódzkiego oraz przedstawiciele organizacji wojskowych polskich na posiedzeniu odbytym w nocy z dnia 11 na 12 listopada 1918 r. pod przewodnictwem pierwszego burmistrza m. Łodzi Leopolda Skulskiego zawarli następującą umowę:

a) Ustają natychmiast na terenie m. Łodzi wszelkie działania wojenne.

b) Do rana pozostają wszystkie oddziały niemieckie na tych miejscach, gdzie znajdują się w chwili obecnej, w ciągu ranka dnia jutrzejszego wycofają się do koszar na ulicy Konstantynowskiej.

c) Garnizon Łódzki opuści miasto Łódź, gdy tylko dostarczone mu będą pociski i uda się do granicy niemieckiej.

d) Organizacje wojskowe polskie dolożą ze swej strony starań, by

zapewnić niemieckiemu garnizonowi łódzkiemu spokojny odjazd do granicy niemieckiej.

e) Garnizon niemiecki obowiązując się wydać organizacjom wojskowym polskim wszystkie nadliczbowa i zapasowa broń i amunicję, z zapasów żywności zabrać tylko tyle, ile na drogę do granicy niemieckiej będzie potrzeba.”

Niewątpliwie była to kapitulacja honorowa, przewidująca dla strony niemieckiej warunki korzystne, niemniej była to kapitulacja i to jedyna, jaką to miasto ozdobione symbolami pracy a nie walki, kiedykolwiek od wroga przyjęło. Toteż nikogo nie dziwi fakt, że wkrótce po odzyskaniu niepodległości akt powyższy zginął, zapewne wykradziony za marki niemieckie.

Akt kapitulacji zakończył tę listopadową noc, z której Łódź wyszła z innym obliczem. Ważne jest to, że — bez żadnej przesady można powiedzieć — od świtu, który po nocy tej nastąpił, zaczął się proces odbudowy zniszczonego miasta, a było to możliwe dzięki zapomnianym dziś ludziom z samorządu działającego w czasie wojny. Jeszcze kiedy trwała, w tonie społeczeństwa ścierały się różne siły polityczne, ale reprezentacja tego społeczeństwa była jedna — stał na jej czele burmistrz Leopold Skulski i on to przyjął kapitulację. Wokół niego grupował się zespół ludzi, mających za sobą doświadczenie pracy samorządowej i to pracy w warunkach specyficznie łódzkich. Ludzie ci zabezpieczyli majątek państwa i miasta, ożywwili instytucje niezbędne dla funkcjonowania organizmu miejskiego, później zaś, kiedy odbyły się wybory — tym razem na podstawie polskich ustaw, wielu z nich kontynuowało pracę w znanych sobie dziedzinach. Jeżeli więc pierwszym prezydentem Łodzi został Aleksy Rzewski, jeżeli wśród radnych lub urzędników Magistratu znalazły się takie nazwiska jak np.: S. Maciński, W. Kaffanke, A. Remiszewski, J. Wolczyński, J. Rosenblatt, to byli to ludzie, którzy w latach 1916—1918 przeszli trudną szkołę kierowania skomplikowanymi sprawami miasta w samorządzie kontrolowanym przez okupanta.

JERZY URBANKIEWICZ



Przemysł samochodowy? Kradzieżnych to tego? Niesłychane! To nie u nas! Kradzieże, owszem, zdarzają się, ale autokontabanda? Niemożliwe... A jednak! Choć brzmi to mocno nieprawdopodobnie, tak właśnie zdarzyło się i u nas. Ledwie sześciomiesięczny autogang w ciągu niespełna roku zarobił na kradzieży i przemyśle samochodów ponad półtora miliona złotych! A dokładnie — 1.642 tys. zł. Po ile to wypadło na głowę?

Kant na giełdzie

28 października 1975 r. na giełdzie samochodowej w Warszawie bydgoski lekarz Bogusław J. kupił wreszcie upragniony samochód. „Wartburg-353” nie był co prawda w idealnym stanie, ale za to kosztował niezbyt drogo — ledwie 100 tys. zł. Sprzedający Krzysztof B. mówił nawet, że to zbyt tanio, ale niech tam, bo mu się bardzo spieszy do innego interesu.

Szybko podpisano odpowiednią umowę, w obecności świadków. Po zawarciu umowy Krzysztof B. wręczył lekarzowi klucze do samochodu oraz zezwolenie czasowe na dopuszczenie pojazdu do ruchu na drogach publicznych, wystawione na swoje nazwisko przez Wydział Komunikacji Urzędu Miasta Łodzi. Kiedy już wszystkie formalności zostały pomyślnie załatwione, sprzedający i kupujący rozstali się w jak największej zgodzie, życząc sobie wzajemnie wszelkiej pomyślności.

Po powrocie do domu Bogusław J. zarejestrował kupiony samochód w miejscowym urzędzie. Młody lekarz nie posiadał się z radości. Wreszcie miał już własny, upragniony samochód i wszystkie potrzebne papiery. Nic, tylko ruszyć w rejs i zadawać szyku!

Ale jak już wystartować, to w pełnej gali! Najpierw więc samochód poszedł do zakładu naprawczego, gdzie usunięto wszystkie usterki i wypucowano wóz na wysoki połysk, za jedyne 15 tys. złp. W sumie to i tak wypadło bardzo tanio, jak na taki wózek! Jeszcze tylko trochę domowej kosmetyki, futrzane pokrowce na fotele, parę ozdobybnych bibelotów i można już było pochwalić się wszystkim nowym nabytkiem.

Tak też Bogusław J. uczynił. Wziął kilka dni urlopu, zapakował żonę, dzieci i foksteriera do samochodu, po czym ruszył w Polskę, powitawszy rodzinę i znajomych, błysnął ludzom w oczy autodostatkiem...

Tymczasem bydgoski urząd zażądał od łódzkiego nadesłania akt rejestracyjnych samochodu, który Bogusław J. kupił od Krzysztofa B. Po sprawdzeniu na terenie Łodzi okazało się, że wymieniony Krzysztof B. nigdy nie był właścicielem żadnego samochodu. Nie pracujący w dodatku notoryczny alkoholik ledwie mógł uciulać parę groszy na butelkę „jabola” od czasu do czasu, a o własnym samochodzie ani mu się śniło. Kiedy zaś sprawdzono numer rejestracyjny zakupionego przez lekarza samochodu, wówczas okazało się, iż pod podanym numerem był zarejestrowany w Łodzi samochód ciężarowy jednego z przedsiębiorstw budowlanych.

O poczynionych ustaleniach łódzki urząd natychmiast zawiadomił Komendę Miejską MO w Łodzi. I tak wszczęto dochodzenie w sprawie, która z początku wydawała się dość typowa. Dopiero później okazała się niezwykle...

Superpomysł

Najpierw było ich trzech — Leszek M., Wojciech P. i Waldemar K. Trzej przyjaciele od kieliszka. Młodzi, wolni, niepracujący, kawalerowie bez żadnych obowiązków. Szkoły wielkiej nie mieli, ledwie „podstawówkę”, ale za to nie brak im było wielkich pomysłów. Co prawda, były to wielkie pomysły do całkiem niewielkich interesów, ale przecież jakoś trzeba było żyć, kombinować na to życie. No więc kombinowali. Bez specjalnych jednak sukcesów, choć ciągle marzyli się im wielki biznes...

Widoki lepszej przyszłości jawiły się im wspaniale. Nie tylko w marzeniach. Zarówno z ulubionej knajpki w sercu Chojen, jak i z pobliskiego parku, gdzie często razem przesiadywali, widać było niedaleką stację benzynową, gdzie przez cały dzień przewijały się roje samochodów. Niekiedy bardzo nawet eleganckich, jak to zwykle na stacji przy trasie międzynarodowej. A w eleganckich samochodach nadziani goście z wystrzałowymi kociakami. To były właśnie obrazy z tego wspaniałego życia, o jakim ciągle marzyli, kiedyś tam w przyszłości...

Ale, wiadomo, same marzenia do pełnego szczęścia nie wystarczą! Nie wystarczy widzieć siebie w roli takiego gościa w supersamochodzie, to

stanowczo zbyt mało. Najlepiej takim gościem być! Ale jak? Skąd wziąć na takie życie ten ciężki szmal?

Nad tym właśnie główkowali nieustannie trzej przyjaciele, spoglądając codziennie tęsknym okiem na eleganckie autokarce, uwożące nieznanych gości wprost do ziemskiego raju. Tam, gdzie tylko dobre wita i high-life, a nie jedynie setka „wody święconej” pod ucho do śledzia... Dumali więc codziennie, aż wreszcie wydumali. Trafił się pomysł — prawdziwa bomba! Od razu zrobiło się im raźniej na duszy, wesołej, aż cały świat pojaśniał, pomimo ciężkiej jesiennej pluchy. Co tam deszcz i zawierucha, kiedy właśnie objawił się im taki „numer”, jakiegonikt jeszcze u nas nie oglądał. Co najmniej na kilkadziesiąt „astronomów”, jeśli nie milion! A taka forsa, to już może wystarczyć na parę ładnych lat lepszego życia...

Był więc pomysł, jakiego jeszcze

Następnie Leszek M. zabawił się w artystę-grafika. Jeden z czystych blankietów rejestracyjnych wypełnił odpowiednio na swoje nazwisko, wpisując do dokumentu dane ze swojego dowodu osobistego i załatwionych wcześniej tablic rejestracyjnych.

Tak więc wszystko zostało przygotowane jak należy. Trzej przyjaciele uznali, że czas zacząć ten wielki biznes...

Pierwszy skok

25 października 1975 r. wyjechali do NRD, wywołując cichaczem przygotowane wcześniej akcesoria. Oczywiście każdy osobno, tak na wszelki wypadek. Spotkali się dopiero na berlińskim dworcu. Stamtąd już razem wyruszyli na rekonesans. Pół dnia szukali odpowiedniego samochodu.

clech P. i Waldemar K. wzięli się za kosmetykę wozu. Leszek M. natomiast musiał przygotować nowe dokumenty. Na przejściu granicznym były konieczne jego własne, ale przy sprzedaży samochodu mogły być „lewe”, a nawet musiały, by zmniejszyć ryzyko wpadki do minimum. Tak więc Leszek M. do jednego z wykombinowanych wcześniej dowodów osobistych wkleił artystycznie własną fotografię. Według danych z tego dowodu, na nazwisko Krzysztofa B. przygotował odpowiedni dowód rejestracyjny.

28 października 1975 r. cała trójka wybrała się do Warszawy na giełdę samochodów, by sprzedać „Wartburga”. Jako właściciel samochodu wystąpił oczywiście Leszek M., tyle że pod nazwiskiem Krzysztofa B. Dwaj pozostali kompani odegrali rolę świadków przy sprzedaży.

Jeszcze miast. Kradli tylko „Wartburgi-353”. Przeważnie te w lepszym stanie. Nawet jeden należący do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych NRD, tyle że na cywilnej rejestracji, bez żadnych znaków rozpoznawczych.

Już w kraju samochody przejmowali inni „właściciele” i sprzedawali je na giełdach. Oczywiście za każdym razem gdzie indziej. Sprzedawali niezbyt nawet drogo, byle tylko jak najszybciej. Wiadomo, taki towar...

W ciągu roku zarobili na tym „interesie” ponad półtora miliona złp! To już był wielki szmal! Tak więc mogli wreszcie zabrylować w tym swoim wymarzonem, wielkim świecie, fundować sobie do woli lekkie, rozrywkowe życie. Pieniądże przepływały im przez palce jak woda, ale też przychodziły tak samo lekko i szybko. Mogli więc sobie pozwolić na dolce vita i high-life...

Feralny jubileusz

Nie wiadomo dokładnie, który z nich właściwie wpadł na ten nieszczęśliwy, jak się później okazało, pomysł. Otóż kiedy przyszła już rocznica pierwszego wielkiego skoku autogangu, oczywiście postanowili to jakoś uczcić. Oczywiście z odpowiednią pompą. A więc najlepiej — wielki jubel, czyli „bal na budach” w najlepszym, starym stylu!

Tak też i zrobili. Oczywiście bufet był zaopatrzony obficie, jak najbardziej, a wody ognistej przede wszystkim było ponad wszelką miarę na tym szczególnym przyjęciu. Nic więc dziwnego, że już po niedługim czasie gaz mocno uderzył wszystkim do głów. Wtedy zaczęła się zabawa na całego! Tudzież, a jakże, prześmieszki przeróżne, niefrasobliwe śpiewające od ucha do uuu-haaa... a potem to już taki przeraźliwy, zagłuszający wszystkich wrzask, jak by ze trzy co najmniej stada pawianów odpawiały weselisko...

Ponieważ pora była raczej mocno późna, jak na takie występy, sąsiedzi długo nie wydzierzyli. Na nic jednak zdali się bardzo grzeczne uwagi pod adresem wesołej kompanii, ani też bardziej nawet energiczne interwencje. Wtedy ktoś wreszcie wezwał milicję. No i stało się! Zwinęci nagle z meliny kolesie byli świecie przekonani, że to totalna zasyra z tym interesem samochodowym, tak im się wszystko zamieszało w pijackiej malignie. Z tego też mylnego bardzo przekonania i naglego strachu, bez jakiegokolwiek powodu i żadnego zaproszenia zaczęli naraz śpiewać chórem, na sześć różnych głosów, oczywiście na tematy motoryzacyjne. I tak zupełnie przypadkiem i całkiem niechcący wyśpiewali akuratnie wszystko co do joty, dopasowując sobie wzajemnie różne przewiny i paragafy.

To był dopiero koncert chóralny, acz bez harmonii, jakiego zadziwieni do głębi panowie milicjanci nigdy chyba jeszcze nie słyszeli! Oczywiście milicjanci w lot zorientowali się, co się święci. I tak cała autoferajna zmieniła lokal — z izby wytrzeźwień prosto do aresztu.

Zaczęło się dochodzenie, w sprawę wkroczył prokurator, który miał nie mały roboty z tym niesłychanie bezczelnym „numerem”, jakiego jeszcze u nas nie było! Chociaż „samochodziarze” przyznali się do wszystkiego, trzeba było jeszcze ponad pół roku żmudnej pracy milicji i prokuratury, zanim wreszcie można było skierować tę niezwykłą sprawę do sądu.

I tak jakoś głupio się skończył ten niebywale sprytny interes. Pewny biznes zupełnie niespodziewanie szlag trafił! Przez ostatnią głupotę, przez nieprzemysłany, durny ochłaj. Na sali sądowej cała złodziejska szóstka przyrzekła solidnie „wszem i wobec”, a sobie przede wszystkim, że już nigdy więcej żaden z nich nawet korka nie powącha!

Jest wielce prawdopodobne, że „zapudlowani” na długo kolesie słowa przysięgi dotrzymają. Jak bowiem wynika z wyroku, na „odwykówkę” czasu aż nadto...

ZBIGNIEW S. NOWAK

AUTOGANG



Foto: Archiwum

nie było! Oczywiście pomysł z samochodami, bo jak się tak ciągle na coś patrzy, to kiedyś tam wreszcie coś się wypatrzy. Przegłównikowi sprawę jeszcze raz, czy aby nie głęboka, dokombinowali parę drobnych szczegółów, urządzili chytry plan. Tak, wszystko było na cacy, nie tylko zacząć...

Przygotowania

Kiedy plan był już dopracowany do ostatniego szczegółu, zaczęli przygotowania. Najpierw odpowiednie dokumenty. W ciągu dwóch tygodni wykombinowali cztery „lewe” dowody osobiste. Trzy kupili po prostu od załanych w pestkę pijaków, a jeden skradli z wyjątkiem.

Były jeszcze potrzebne czyste blankiety dowodów rejestracyjnych. Tego jednak nie dało się kupić. Tu więc trzej przyjaciele wykombinowali inny „numer”. Przebrani za hydraulików odwiedzili jeden z urzędów dzielnicowych i pod pretekstem sprawdzenia urządzeń grzejnych dokonali penetracji lokalu. Dwaj „hydraulicy” zabawiali wesołymi rozmówkami panie urzędniczek, a trzeci w tym czasie skradł z szuflady biurka trochę odpowiednich blankietów. Wystarczyło mu nawet czasu na przedstawienie odpowiednich pieczęci, gdzie trzeba.

Kiedy już zostały „załatwione” dokumenty, przyszła kolej na inne akcesoria. Na giełdzie motoryzacyjnej na bazarach trzej kolesie kupili klamki do przednich drzwi samochodowych, zamek do bagażnika oraz stacyjkę. Oczywiście do „Wartburga-353”, bo tylko taka marka wchodziła w grę. Wykombinowali także tablice rejestracyjne o numeracji łódzkiej.

Wreszcie w Schoenefeld na przedmieściu Berlina trafili na „Wartburga-353”, zaparkowanego obok bloku, za jeszcze zielonym żywoptem. Samochód był odpowiedni, miejsce raczej ustronne, dogodne.

W nocy przystąpili do działania. Wojciech P. wyważył śrubokrętem trójkątną szybę w tylnych drzwiach samochodu, następnie otworzył drzwi. Później siał przewody stacyjki, uruchamiając silnik. Cała trójka szybko wsiadła do samochodu, ostro ruszając z miejsca. Dopiero po odjechaniu na bezpieczną odległość zatrzymali samochód.

Wtedy złodzieje zmienili się w autoservicowców. Robota dosłownie paliła się im w rękach, a tempa mogłoby pozazdrościć mechanicy obsługujący samochody rajdowe. Błyskawicznie zostały wymienione tablice rejestracyjne, zamek bagażnika, stacyjka.

Było to konieczne na wypadek kontroli samochodu podczas przekraczania granicy. Bez wymiany owych części, nie mając oryginalnych kluczy nie mogliby uruchomić silnika, czy też otworzyć bądź zamknąć drzwi i bagażnika.

Niebawem samochód był gotowy do dalszej drogi. Tylko jechać! W tym momencie kolesie musieli się rozstać. Dalej samochód miał konwować już w pojedynkę Leszek M., na którego nazwisko były przygotowane odpowiednie dokumenty. W razie wpadki ryzykował tylko on jeden, a nie wszyscy. Tak więc do kraju każdy wracał osobno, tak jak tu przybyli.

Przy przekroczeniu granicy jakoś nie mieli kłopotów. Następnego dnia wszyscy spotkali się w Łodzi. Woj-

Samochód poszedł migiem, ze względu na bardzo konkurencyjną cenę. Kupił go właśnie bydgoski lekarz Bogusław J.

Autogang

Pierwsza udana w pełni „akcja” mocno podbudowała złodziejską trójkę. Przyjaciele szybko doszli do przekonania, że biznes jest super-extra — ot, małe ryzyko, za to forsa ogromna. Należało tylko rozwinąć ten interes. Metoda już była opracowana w szczegółach i sprawdzona praktycznie. Wszystko grało! Teraz tylko trzeba było jeszcze dokoptować kilku współników, powiększyć siły i możliwości, rozwinąć biznes na większą skalę.

Chętni do spółki znaleźli się szybko. Też starzy kolesie, choć dla odmiany wszyscy żonaci, z przychówkiem i pracujący na dodatek. Jeden nawet właściciel prywatnej wytwórni zabawek, mizernie jednak prosperującej. Nowi, Józef T., Michał S. i Witold R., szybko i pomyślnie przeszli odpowiednie „przeszkolenie”.

Zmobilizowano siły i środki. Autogang zaczął działać. Szybko, sprawnie, bezszmerowo — niczym „twardzi” z Chicago! Przestępcza machina pracowała rytmicznie jak zegarek. Co miesiąc jeden skok za granicę. W ciągu roku 12 samochodów.

Zawsze wyjeżdżali po dwóch, trzech. Za każdym razem ktoś inny. Podczas tych „gościnnych” występów odwiedzili Berlin, Drezno, Cottbus, Bad, Gross-Pankow i parę innych

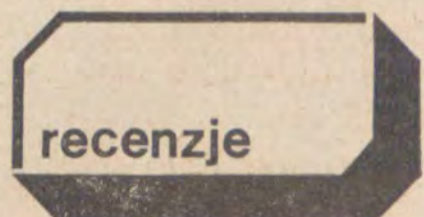
W badaniach współczesnego życia literackiego nie powinno zabraknąć ośrodków powojennych dzieł po-
szczególnych (przynajmniej tych li-
czących się w kraju) środowisk ni-
sarskich. Niektóre ośrodki doczekały
się takich ośrodków — wśród nich
stosunkowo duża waga do tego typu
dokumentacji i socjologicznych ujęć
przywzięcie tradycje środowiska
poznajskiego. Funkcjonuje tam na za-
sadzie krytyki towarzyszącego doko-
naniu poznajskich pisarzy Feliks
Fornalczyk, autor opublikowanego
niedawno przez Wydawnictwo Poz-
nańskie obszernego szkicu o życiu
literackim w powojennym Poznaniu.
Fornalczyk postuluje konieczność
dokonania analizy osłabienia i war-
ków formowania się i funkcjonowa-
nia ośrodków literackich w całym
kraju. Piszemy między innymi: „Niewie-
le znajdziemy ośrodków z tego za-
kresu. Brak ujęć socjologicznych na-
leży nie do dziś do największych
mankamentów zarówno teoretycznej
myśli estetycznej, jak i użytkowej
krytyki literackiej. Nieprzekony-
wale zapewniamy, że całościowego
ucieczki ukazującego powojenne dzieło
życia literackiego w Polsce w całej
swojej złożoności i polifonizmie. W
tych okolicznościach godzi się przede-
się podjąć próby, choćby cząstkowe,
które przybliżyłyby obraz powstania
owego pożądanego dzieła sumiśnie-
go”. I taka właśnie próba ukazania
zarysu życia literackiego Poznania po
1945 roku jest książką Feliksa For-
nalczyka, oparta na materiałach ar-
chiwalnych i czasopiśmiennych, na
przekazach wspomnieniowych, a prze-
de wszystkim na lekturach książek

POWOJENNY POZNAŃ LITERACKI

pisarzy w przeszłości i aktualnie ze
stolica Wielkopolski związanych.
Autor „Oswajania z teraźniejszo-
ścią” traktuje życie literackie w ści-
śle łączności z rytmem życia poli-
tycznego. Stąd też do ustalania cezur
literackich i tym samym kolejnych
rozdziałów swej książki wykorzystuje
znaczące wydarzenia polityczne.
Schemat ten jest godny uwagi rów-
nież w odniesieniu do ewentualnych
ośrodków literackich innych środowisk,
niemniej jednak pamiętać trzeba, że
nie zawsze musi być pomocny w wy-
dobyciu specyfiki przedstawianego
środowiska. W przypadku literackiego
Poznania schemat ten sprawdził się
(jedyna dyskusyjna sprawa może być
wyznaczenie ostatniego podokresu i
jego motywacja, ale o tym rozstrzy-
gnąć będzie można dopiero z do-
godnego dystansu czasowego).
Oddział Związku Literatów Pol-
skich powstał w Poznaniu w 1918 r.
Książka Fornalczyka jest więc donie-
kad publikacją przystawianą dla
uczczenia tej rocznicy, niemniej jed-
nak w zasadzie poza okres powo-
jenny nie wykracza. Środowisko li-
terackie Poznania od razu po woj-
nie, w połowie 1945 roku, liczyło się
w kraju, posiadało 24 członków
ZLP. Na liście te złożyli się zarówno

znani literaci z innych pochodzący
ośrodków (w ich gronie Jarosław
Iwaszkiewicz, Wanda Karczewska,
Roman Koloniecki, Wacław Kubacki,
Eugeniusz Paukszta), jak i przedwo-
jenni poznajscy (Wojciech Bak,
Egon Nagatowski, Stanisław Struga-
rek, Aleksander Rogalski, Tadeusz
Kraszewski i inni).
W nowej sytuacji środowisko po-
znańskie nawiązało do swych wcze-
niejszych tradycji, wśród których
przeważały sprawy urzędowania od-
rodzonego państwa polskiego. Obok te-
go poznajscy literaci, pomni swych
niemowlanych, zainteresowali się
przebiegiem przed lekceważeniem
problemu niemieckiego. Wanda Kar-
czewska wystawiła wtedy w Teatrze
Polskim dramat „Ziemia oskarża”.
Rozgrywane się w Domu Litera-
tów przy ulicy Noskowskiego 24 kon-
flikty ideowe doprowadziły między
innymi do likwidacji w 1947 roku
tygodnika „Życie Literackie”. W tej
sytuacji publikować można było
dodatek kulturalny miejscowych
kasz i w rozgłoszono radiowej, a także
w katowickiej „Odrze” i bydgoskiej
„Arkonie”.
Następny okres rozpoczął się na
przełomie lat 1949/1950 i pozostawał
w ścisłej zależności ze szczecińskim

ziadem Związku Literatów Polskich,
na którym wprowadzono doktrynę
twórczą realizmu socjalistycznego.
Okres ten przebiegał tu — wskutek
unifikacyjnych dążeń centralistycz-
nej polityki — podobnie jak i w in-
nych skupiskach literackich. Najważ-
niejsze stało się wprowadzenie zasad
socrealizmu w czyn oraz systematyczne
organizowanie światopoglądowych
dyskusji (zarówno w bezpośrednich
spotkaniach, jak i na łamach prasy).
Miejsowa krytyka marksistowska
zasilił wówczas przybyły na Uniwer-
sytet im. Adama Mickiewicza Jerzy
Ziomek. W tym też czasie (27 lipca
1951 roku) powstała przy Poznańskim
Oddziale Związku Literatów Polskich
Podstawowa Organizacja Partynia.
Uaktywniło się Koło Młodych — mło-
dzież i bezkompromisowo, jak na-
kazował obywatel Związku Młodzieży
Polskiej.
Kolejny okres wyznacza powołanie
w lipcu 1956 roku samodzielnego
Wydawnictwa Poznańskiego oraz po-
wstanie czasopisma literackiego: „Ty-
godnik Zachodniego”. „Wybojów” i
satyrycznego tygodnika „Kaktus”. U-
kształtowały się znane grupy poetyckie:
„Wierzbak” i „Swantewit”. W
roku 1957 zapoczątkowano „Poznań-
skie Listopady Poetyckie”. Pewna ro-
le odegrał też Poznań w organizo-
waniu imprez pisarzy Ziemi Zachod-
nich i Północnych. W połowie lat
szesćdziesiątych miasto otrzymało
własny miesięcznik — „Nurt” — u-
kazujący się do dziś dzień. Inicjaty-
wy poznajskie są bardzo charaktery-
styczne dla ogólnego ożywienia życia
kulturalnego w kraju na przełomie
lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych



— część z nich okrzepła, odegrała i
odegrała w życiu literackim rolę
istotną, inne szybko skończyły swój
efemeryczny żywot.
Szkoda wszelako, że koncentrując
się na socjologicznym aspekcie
przedstawianych spraw zbyttno zdaw-
kowo potraktował autor „Oswajania z
teraźniejszością” to co w końcu w
życiu literackim najważniejsze —
twórczość oryginalną. Organizacji się
właściwie do sporządzenia indeksu z
krótkim komentarzem do każdej po-
zycji. Dale to wprowadzić obraz do-
konań środowiska, ale czytelnika
sposobionego do dokładniejszej infor-
macji zupełnie nie satysfakcjonuje Wy-
danie się, iż w tego typu opracowa-
niach twórczość oryginalna należa-
łoby omawiać w miarę dokładnie i —
w miarę potrzeby — na szerokim tle
ogólnokrajowych zjawisk. Ale test to
już raczej postulat pod adresem au-
torów kolejnych monografi.

Feliks Fornalczyk, „Oswajanie z tera-
źniejszością”, Wydawnictwo Poznańskie,
Poznań 1978, nakład 3.500 + 250 egz., 26 s.,
cena 15 zł.

TADEUSZ BŁĄŻEJSKI

W minionym tygodniu ruszy-
ła wreszcie z dawna oczekiwa-
na „wysoka fala” premier, ja-
kieś ziarenko piasku musiało
wszelako wpaść w tryby koor-
dynacyjnej maszyny, skoro ko-
niec końców kalendarzyk uło-
żył się nam zgola niefortunnie.

Popatrzmy tylko: w czwartek 16
listopada — później co prawda od-
wołana — premiera prasowa „Praw-
domównego kłamcy” Grigorija Go-
rina w Teatrze Ziemi Łódzkiej.
W piątek 17 listopada premiera, a
nawet światowa prapremiera, kome-
dii bułgarskiego autora Nedialko
Jordanowa „Rozwód” na scenie Tea-
tru im. Jaracza.
W sobotę 18 listopada premiera
„Dam i huzarów” Aleksandra Fre-
dry w Teatrze Powszechnym, połą-
czona z pięknym jubileuszem 60-le-
cia pracy artystycznej znakomitego
aktora Janusza Mazanka.
A jednocześnie w tenże czwartek,
piątek i sobotę: gościnne występy
Teatru Dramatycznego im. Sawy
Ognianowa z Ruse, przybyłego do
Polski w ramach zorganizowanych
po raz pierwszy „Dni dramatu i tea-
tru bułgarskiego”.
Oczywiście miłym obowiązkiem
recenzenta jest biegać z premierami
na premierę i nie o nas kilku tu
chodzi, zbyt długo jestem jednak
związany z prasą codzienną, aby nie
doceniać kłopotów jakie sprawia po-
dobne zagęszczenie nowych spekta-
kli. Każdy wypadłoby przecież za-
powiedzieć, a potem omówić jak
najśpieszniej, tymczasem żaden re-
dakt. naczelny nie zgodził się na to,
aby jego gazetę zamienić doraźnie
w wielonakładowy „Teatr”. Nawet

ZAPISKI KRONIKARZA

PREMIERY, INAUGURACJE, PIĘKNY JUBILEUSZ

życiowe Melpomienie „Odgłosy” —
choć te, niestety, mają z kolei dość
długi cykl druku — wszystkie na-
raz nie pomieszczą, przepraszam te-
dy zainteresowanych z Szanownym i
Młym Jubilatem na czele, ale na
omówienie swoich premier będą mu-
sieli jeszcze czas jakiś poczekać.
Dziś, z konieczności po prostu, po-
zostaje mi jedynie przedstawić kro-
nikarskie notatki, zwycięży zapis wy-
darzeń, do których będziemy jeszcze
powracać.
I tak w ostatnich dniach październi-
ka Teatr im. Bogusławskiego w
Kaliszu — kierowany przez dobrze
znanego w Łodzi aktora i reżysera
Waldemara Wilhelma — w odre-
stauryowanym zabytkowym Teatrze
Miejskim w Sieradzu otworzył swo-
ją filię, stała się sceną, której działal-
ność zainaugurowało przedstawienie
„Domu lalki” Ibsena w reżyserii Le-
cha Wojciechowskiego.
Z Kalisza trochę bliżej do Siera-
dza niż z Łodzi, a i dojazd ponoć
lepszy, niech się więc fortunnie Tea-
trowi im. Bogusławskiego w grodzie
nad Wartą wiedzie, zwłaszcza że nie
o lokalne ambicje tu chodzi, a o
teatralną kulturę, która granic ad-
ministracyjnych nie zna. Zaś orga-
nizowane od przypadku do przypad-

ku gościnne występy, to coś zgola
innego niż stała, z planem i perspek-
tywistycznymi zamysłami prowadzona
scena.
Dowód na zasadność podobnego
rozumowania dało i kolejne z mło-
dych województw, Skierniewice.
Nieco więcej niż przed tygodniem,
dokładnie we wtorek 14 listopada w
pięknej sali kinoteatru „Polonez”
została uroczystie podpisana umowa
o stałej współpracy, sygnowana z
jednej strony przez skierniewicką
Radę Dyrektorów, z drugiej zaś —
przez kierownictwo Teatru Ziemi
Łódzkiej. Inauguracyjny spektakl,
wspomniany już „Prawdomówny
kłamca” Gorina, dedykowany był
założce Fabryki Urządzeń Odlewni-
czych „Fumos”, której przedstawi-
ciele szczerze wypełnili widownię,
ciepło i ze zrozumieniem przyjmując
bynajmniej nie najłatwiejsze w od-
biorze, metaforyczne i poetyckie
przedstawienie.
Inicjatywa dedykowania nowych
premier przodującym zakładom pra-
cy na został utrzymana, zaś sala
„Poloneza” będzie odtąd stałym
miejscem występów Teatru Ziemi
Łódzkiej, jak gdyby drugą jego sce-
ną, co przy ogromnie miłym przyje-
ciu zgłotowanym teatrowi przez za-

łogę „Fumosu”, władze miasta i wo-
jewództwa, zdaje się zapowiadać o-
wocną i wzajemnie korzystną współ-
pracę.
Ze Skierniewic wróciłem głęboko
przekonany, że tedy właśnie wiedzie
właściwa droga i niekoniecznie
każde województwo musi zabiegać
o własny teatr, własną filharmonię,
czy — strach nawet pomyśleć —
własną operę, z góry skazane na ar-
tystyczną drugorzędność. Mądrzej i
gospodarniej jest dbać o bazę — sa-
le widowiskowe i domy kultury z
prawidłowego zdarzenia — wykorzy-
stując zarazem zespoły już istniejące,
starając się budować tradycję
systematycznego obcowania ze sztuk-
ką możliwie najwyższego lotu.

W Łodzi natomiast — jak już
wspominałem — mieliśmy „Dni dra-
matu i teatru bułgarskiego”, oraz
wzruszającą uroczystość jubileuszu
Janusza Mazanka.
O teatrze bułgarskim będziemy je-
szcze pisać, wypada jednak zasygna-
lizować, że los sprzyjał się prze-
ciwko miłym gościom. Najsmprzód
— ze względu na chorobę — musie-
li odwołać przedstawienie sztuki słow-
ackiego autora Petera Kowacka
„Karczma pod zielonym drzewem”,
następnie przeżyli długi dzień strachu
w daremnym oczekiwaniu na
wagony z dekoracjami i kostiumami
do „Prawodawcy” Rangel Ignatowa.
W rezultacie dwukrotnie poka-
zali jedną z najgłośniejszych współ-
czesnych sztuk bułgarskich, „Sty-
czeń” Jordana Radickowa, a że nie-
szczęsny wagon koniec końców do-
tępał się do Łodzi, „Prawodawca”
zamknął ostatecznie trzydniowe wy-

stępy gościnne Teatru im. Ogniano-
wa.
Nas, najwierniejszych sympatyków
Melpomeny, serce ciągnęło jednak w
tym dniu gdzie indziej, do Teatru
Powszechnego, gdzie w roli Kapela-
na z „Dam i huzarów” Janusza Ma-
zanka obchodził jubileusz 60-lecia
pracy aktorskiej na scenach Krakowa,
Wilna, Poznania, Katowic, War-
szawy, Torunia, Wrocławia i Łodzi,
w której spędził ostatnie dwadzie-
stoletie.
O spektaklu napiszę wkrótce,
mam pewne zastrzeżenia, którymi
rad nie będę musiał się podzielić.
Jubilat był wszelako w doskona-
łej formie, a jego wyjście na scenę
powitała widownia burzliwym okla-
skami, świadczącymi dowodnie, że
zdobył sobie w naszym mieście wier-
nych i oddanych przyjaciół.
Depesze gratulacyjne napłynęły z
całej Polski, scena dosłownie utone-
ła w kwiatkach, zaś Krzyż Komand-
orski Orderu Odrodzenia Polski,
którym udekorował Jubilata i se-
kretarz KL PZPR, przewodniczący
Rady Narodowej Miasta Łodzi —
Bolesław Koperski, odebraliśmy nie
tylko jako dowód uznania dla arty-
sty-społecznika, ale i wyraz szacunku
jakim partia i ludowe państwo da-
rzą ludzi sztuki.
„Na swoim komputerze — mówił
Jubilat — zaprogramowałem sobie
całych sto lat życia, a że nie wy-
obrażam sobie życia bez teatru, już
teraz, dziękując za życzenia, ośmie-
lam się zaprosić wszystkich obec-
nych na jubileusz 70-lecia.”
I znów zerwały się oklaski, a ja
myślałem sobie uparcie, że nie są to
tylko czcze przechwałki, że tu, na
tej sali, spotkamy się jeszcze z Ja-
nuszem Mazankiem, czego i Jemu i
nam, widzom, serdecznie życze.
JERZY PANASEWICZ

BITWA NA EKRANIE NIE PRZEGRANA

Pomysł zrodził się w telewi-
zji francuskiej. Polegał na zre-
konstruowaniu w oparciu o ist-
niejące przekazy historyczne i
współczesną aparaturę nauko-
wą największych bitew w dzie-
jach świata. Autorzy serialu
zdawali sobie sprawę, że tele-
wizja, w której programy insce-
nizowane mieszają się ze zdję-
ciami dokumentarnymi, a for-
ma wypowiedzi wprost do ka-
mery ma pełne prawo obywa-
telstwa, słowem ta telewizja,
która nie dba o odrębność i
czystość form, gatunków, spo-
sóbów rejestracji, jest wielkim
młynem, w którym miele się
wszystko, zlepią w jedną całość
rzeczy niespójne.

Dlaczego więc nie łączyć fragmen-
tów filmów fabularnych z wypowie-
dziami uczonych, współczesnych
zdjęć dawnych pól bitewnych z de-
monstracją rekwizytu, broni, ryn-
sztunku? Taką właśnie złożoną
strukturę narracji przyjęli autorzy
francuskiego serialu „Największe
bitwy świata”, który prezentowany
był przed paru miesiącami w naszej
telewizji. Wśród rekonstruowanych
bitew znalazł się także i Grunwald,
a wśród historyków komentujących
to potężne starcie zbrojne — rów-
nież polscy uczeni.
Jeśli więc projekt kontynuowania
jakby tego cyklu w zastosowaniu
wyłącznie już do historii Polski, ja-
ki zrodził się w naszej telewizji, był
w stosunku do pierwowzoru francu-
skiego wtórny, to przecież z faktu
tego trudno uknąć jakiegokolwiek
zarzut. Dzieje naszego narodu obfitują
w wielkie i krwawe bitwy, z któ-
rych przebiegiem warto się zapoznać
bliżej. Inicjatywie stworzenia cyklu
„Polskie bitwy” można więc jedynie
przyklasnąć.
Obejrzelśmy już na ekranach te-

lewizorów szereg zrekonstruowanych
bitew. Cedynia, Niemcza, Płowce, to
kolejne ogniwa tego dokumentarnego
serialu. Na ogół programy te zreali-
zowane były z dużą starannością,
realizatorzy zaangażowali do współ-
pracy najlepszych naszych znawców
przedmiotu. Ze szczególną troską od-
noszono się do rytyzunku i ubioru
walczących stron, aż po najdrobniej-
sze detale. Ukazywano technikę wal-
ki wręcz i strategię stosowaną w
bitwach. Materiał dokumentarny i
źródłowy uzupełniano wstawkami
filmowymi bądź to nakręconymi
specjalnie w tym celu, bądź też wy-
jętymi z istniejących filmów fabu-
larnych.
Przy uciekaniu się do tych osta-
tnich autorzy serialu byli oczywiście
zdezorientowani materiałem filmo-
wym uformowanym w przeszłości
przez kogoś innego. Prowadzić to
musiało czasem do efektów mniej
zadowalających. I tak na przykład
w programie „Płowce” Macieja Sień-
skiego korzystano z fragmentów fil-
mu „Kazimierz Wielki”, którego
twórcy nie zadbali odpowiednio o
zgodność z autentyzmem historycz-
nym uzbrojenie i kostiumy.
Inaczej miała się rzecz z na-
danym ostatniej niedzieli programem
„Przeprawa bitwa”, zrealizowanym
przez Andrzeja Barszczyńskiego i
Wiktora Mellerę według scenariusza

świeżego historyka i znawcy epoki
prof. Adama Kerstena. Program ten
dotyczył bitwy ze Szwedami, jaka
rozegrała się w dniach od 29 do 31
lipca 1656 roku na prawym brzegu
Wisły pod Warszawą. „Przeprawa
bitwę” uznajmy za program wręcz
wzorowy w swoim gatunku.
Oglądałem większość filmów „bi-
towych” zarówno telewizji francu-
skiej, jak i naszych, ale po raz
pierwszy panorama po tzw. teatrze
zdarzeń ukazywała wysokościowiec
nowoczesnego osiedla mieszkani-
owego i hale produkcyjne — wielkich
zakładów produkcyjnych. No, tak!
Pole bitwy pod Warszawą sprzed
ponad trzystu lat, rozciągające się
między Jabłonką, Bródem i Zera-
niem, to dziś teren wielkomiejskiej
zabudowy stolicy. Trudno byłoby
więc odtwarzać obecnie w terenie
użytkowanie wojsk w poszczególnych
etapach bitwy.
Pozbawieni tej możliwości realiza-
torzy korzystali z innych form de-
monstracji, przede wszystkim z ani-
mowanych szkiców sytuacyjnych.
Dwugłos szwedzkiego uczonego i na-
szego historyka wojskowości — plk.
prof. Jana Wimmera, utrzymany w
tonie przyjaznego obiektywizmu i
rzeczowości, stanowił piękną formę

komentarza do krwawych wydarzeń
z przeszłości, wyłączał jakiegokolwiek
zacierzowanie, czy szowinistyczne
pasje. Demonstracje uzbrojenia rai-
tarli i polskiej husarii, woltżerka
w wykonaniu Daniela Olbrychskiego,
składały się na interesującą meryto-
rycznie i formalnie dokumentację
wizualną programu.
Autorzy „Przeprawy bitwy” mieli
też znakomitą szansę do obfitego
korzystania z materiałów filmo-
wych stanowiących „nadwyżkę” pro-
dukcyjną powstałą przy okazji kre-
cenia „Potopu”. Mieliśmy więc próbkę
korzystnego ekonomicznie użyt-
kowania materiałów filmowych, któ-
re jednocześnie przyczyniło się do
wzbogacenia wizualnej strony pro-
gramu. W materiałach znajdowały
się ilustracje do wszystkich decydu-
jących momentów bitwy. A że „Po-
top” Hoffmana nakręcony był z
wielkim pietyzmem w stosunku do
rekwizytu i kostiumu (duża zasługa
Jerzego Szeskiego!) więc i program
telewizyjny na tym zyskał.
Bitwa warszawska była przegrana
w polu, ale nie przegrali jej telewi-
zjni rekonstruktorzy!

WLADYSŁAW ORŁOWSKI

Tragedia wigilijnej nocy

Tadeusz Chmielewski, reżyser filmu „Wśród nocnej ciszy”, należy do tej bardzo nielicznej w naszym kinie grupy twórców, którzy realizują filmy nurtu tradycyjnie określonego klasą B, a może i C. Nurt ten obejmuje filmy popularne, służące tzw. czystej rozrywce, a zatem dominujące w nim gatunki to sensacja, kryminał, western i komedia. W kinematografii, w której filmy tych gatunków są niezwykle rzadkością, i to najczęściej mało udaną, Tadeusz Chmielewski zajmuje miejsce bardzo istotne.

Kiedy w dziełach naszego kina szukamy udanych komedii, to wspominamy klasyczny bez mała „Skarb” Leonarda Buczkowskiego, „Samych swoich” Sylwestra Chęcińskiego i trzy filmy Tadeusza Chmielewskiego: „Ewa chce spać”, „Gdzie jest generał” i „Jak rozpętałem II wojnę światową”. Te trzy ostatnie tytuły nie wyczerpują zresztą listy komedii przez reżysera tego zrealizowanych. Warto też wspomnieć, że w większości przypadków jest Chmielewski również autorem scenariuszy swych filmów, czyli, że na pewno natura obdarowała go owym tak rzadkim w naszym kinie poczuciem humoru, talentem komediowym, poprzez który wypowiada niekiedy treści wywołujące się jedynie komediowemu widzeniu świata.

Film „Wśród nocnej ciszy” jest próbą sil w innym aniżeli dotąd, na ogół z powodzeniem uprawianym gatunku. Film ten, którego scenariusz oparł Tadeusz Chmielewski na powieści ckiego pisarza Ladisława Fuksa, jest kryminałem. Jak zwykło to czynić w przypadku komedii, tak i ten film wyposaża Chmielewski w treści dramatyczne, przekraczające konwencje tego popularnego gatunku.

Akcja filmu toczy się w latach dwudziestych, w trudnym do identyfikacji miasteczku pomorskim, które leży przy żeglownym szlaku wodnym do Gdańska. Ta topografia pełni w filmie „Wśród nocnej ciszy” niezwykle ważną rolę. Decyduje o cudownej urodzie miasteczka, które otoczone wodą, przykryte śniegiem, prezentując typową dla tego rejonu architekturę, stanowi niezwykle w swym pięknie scenę dramatu, jaki w nim się rozgrywa. Tadeuszowi Chmielewskiemu i operatorowi filmu Jerzemu Sawickiemu zadziwiający, znów tak rzadkie w naszym kinie, odkrycie urody i funkcjonalności pejzażu tak natury jak i miasta. Uwaga ta obejmuje także wykozystanie dla stworzenia nastroju i napięcia tego filmu realiów innych, charakterystycznych dla czasu akcji, czyli wspomnianych już lat dwudziestych.

W ten pejzaż wpisany jest dramat miejscowego komisarsza policji, Teofila Hermana, który poszukując zbrodniarza mordującego dzieci, wkłada się w tragedię osobistą. Jak zwykle w kryminalnym filmie, uczestniczy w o wymym tropieniu zbrodni, lecz to, czym Chmielewski w pierwszym rzędzie przykuwa naszą uwagę dotyczy prywatnego życia komisarsza Hermana, narastającego konfliktu pomiędzy nim i jego 16-letnim synem Wiktoorem. Herman, którego osobowość ukształtowana została pruskim rygiem obyczajowym i prawnym, w najlepszym zapewne intencjach, w jego duchu pragnie też wychować syna, chłopca o wielkiej wrażliwości i typowych dla wieku marzycielskich skłonnościach. Choć ów konflikt, tak często zdarzający się wśród wszystkich kolejnych pokoleń, ma swe źródła natury ogólniejszej, to jego analiza jest w filmie Chmielewskiego obdarowana niezwykle pieczołowicie realiami czasu i okoliczności, w których się rozgrywa. I to chyba decyduje o odczuciu głębokiej prawdy psychologicznej, jaką ten kryminał — niekryminał z sobą niesie. Rysunek psychologiczny chłopca, opis jego przyjaźni, ciekawości świata, marzeń i buntów wsparty został naprawdę dobrą rolą młodziutkiego aktora, studenta psychologii, Piotra Łysaka. Obdarował on swego bohatera rysami, w które wierzy się, że są typowe dla chłopca lat dwudziestych naszego wieku.

Aktorstwo jest w ogóle mocną stroną tego filmu, dotyczy to zwłaszcza Tomasza Zaliwskiego w roli komisarsza Hermana i Henryka Bisty jako jego współpracownika. Są to ludzie z epoki. Styl retro znalazł w filmie Tadeusza Chmielewskiego najlenszą jak dotąd w kinie naszym realizację. Ten styl nie tyle nawet usprawiedliwia, ile uprawomocnia pewne naiwności czy konwencjonalne chwytły — są one w ów styl wpisane.

Nie znaczy to przy tym wcale, że „Wśród nocnej ciszy” nie spełnia warunków dobrego i trzymającego w napięciu kryminału. Bo nawet wówczas, gdy rozpoznajemy tragiczną prawdę, nie oczekujemy jeszcze łatwego jej rozwiązania, jakie film przynosi. Sądząc, że zdiwiona nieco dobrym poziomem polskiego kryminału publiczność, przyjmie najnowszy film Tadeusza Chmielewskiego tak, jak wiele jego dotychczasowych propozycji, to znaczy z aplauzem.

EWA NURCZYŃSKA



Foto: Archiwum

„...Wybitna indywidualność, wysoki, przystojny o magnetycznym spojrzeniu i ujmującym obejściu, dowcipny, mądry, był postacią fascynującą i gościem mile widzianym w najbardziej ekskluzywnych domach Warszawy i Petersburga. Chałubiński był człowiekiem wielkiej odwagi i wielkiego serca, a także niezwykle kulturalnym i rozmiłowanym w sztuce i przyrodzie”.

Tak scharakteryzowała dra Tytusa Chałubińskiego wybitna aktorka polska Helena Modrzejewska.

Kim był Tytus Chałubiński? Urodził się w 1820 r. we wsi Chociwek pod Radomiem. Ojciec pochodził z niezbyt zamożnej rodziny mieszczańskiej w Biłgoraju i sprawował funkcję tzw. patrona przy trybunale radomskim.

Po ukończeniu gimnazjum odbywał wyższe studia w Wilnie, Dorpacie i Würzburgu. W Wilnie zdobywał wiedzę medyczną w Akademii Lekarskiej. Po zamknięciu tej jedynej w zaborze rosyjskim uczelni z polskim językiem wykładowym, wyjechał za granicę, celem uzupełnienia studiów. Na uniwersytecie dorpackim nie kontynuował już zaczętych w Wilnie studiów medycznych, lecz z całym zamiłowaniem oddał się naukom przyrodniczym, zwłaszcza botanice i studiom filozoficznym. Wszedł w kontakt z miejscową Polonią. Dzięki jego staraniom i niezwykle urokowi, jak wywierał na otoczenie, studenci polscy, pozostający pod silnym wpływem hulaszczygo trybu życia burszów niemieckich, wycofali się z ich kręgu i rozpoczęli spokojny i nowatorski okres pracy naukowej. Z Dorpatu przeniósł się następnie do Würzburga, gdzie ukończył rozpoczęte w kraju studia medyczne i uzyskał stopień doktora.

W 1845 r. powrócił do kraju. Pierwsze swe kroki skierował do Warszawy, gdzie po krótkiej praktyce, został najpierw naczelnym lekarzem szpitala ewangelickiego, a później profesorem Akademii Lekarskiej. Będąc wykładowcą i kierownikiem katedry i kliniki chorób wewnętrznych, dał się poznać jako wybitny metodolog i diagnostyk.

Klinika Chałubińskiego cieszyła się wyjątkową opinią i uznaniem sfer lekarskich Warszawy i innych miast polskich. Traktowano ją nie tylko jako zakład leczniczy, ale przede wszystkim jako „szkołę myśli, uczuć i etyki”.

Następnym etapem działalności dra Tytusa była nowo zorganizowana Szkoła Główna w Warszawie, gdzie nadal kierował katedrą i klinika chorób wewnętrznych. W tym czasie przy współudziale autora „Kollokacji”, profesora Szkoły Głównej Józefa Korzeniowskiego, podjął pracę nad reformą szkolnictwa średniego. W przedłożonym władzom szkolnym memoriale domagał się wprowadzenia do gimnazjów nauk przyrodniczych.

W 1871 r., na skutek zarządzenia władz zaborczych, Chałubiński musiał zrezygnować ze stanowiska wykładowcy w Szkole Głównej. Teraz z zapalem i energią podjął prace nad publikacjami naukowymi z zakresu medycyny. Wydał drukiem szereg dzieł, jak cieszące się wielkim uznaniem w sferach naukowych rozprawy pt. „Metoda wynajdywania wskazań lekarskich” i „Zimnica”. Udzielał się również pracom społecznym, m. in. jako prezes Kasy Pomocy Naukowej im. Mianowskiego. Znany był mieszkańcom Warszawy nie tylko jako lekarz, lecz także jako filantrop, niosący najbardziej pomoc materialną.

W uznaniu jego zasług dla uczelni warszawskich i pracy społecznej, utworzono przy Towarzystwie Lekarskim Fundusz im. Chałubińskiego. Korzyścili z niego głównie wyróżniający się w studiach medycznych studenci i naukowcy.

II.
Największą jednak sławą i uznaniem cieszył się dr Tytus Chałubiński jako taternik, odkrywca i propagator Zakopanego. Po raz pierwszy zetknął się z Tatrami w 1849 r. Miał wtedy 28 lat i wrócił do kraju z Węgier, gdzie jako lekarz był zatrudniony w ambulansie polowym powstańców i walczył o wolność ludu węgierskiego. Po stłumieniu powstania, powrócił do kraju najkrótszą

KRÓL TATRZAŃSKI

drogą — przez Tatry. I wtedy właśnie poznał po raz pierwszy Zakopane. Urzekło go pięknnością i urodą.

W 3 lata później — w 1852 r., powrótnie odwiedził je, tym razem w towarzystwie dwóch serdecznych przyjaciół, profesorów warszawskich uczelni: Karola Jurkiewicza i Jerzego Aleksandrowicza. Zawarł wtedy wiele znajomości, m. in. z lubianym powszechnie przez górali Janem Krzeptowskim-Sabałą, ks. Józefem Stolarczykiem i in.

Chałubiński zamieszkiwał w domu ks. Stolarczyka aż do 1877 r. Później, mając zamiar osiedlić się na stałe, zakupił w lesie u zbiegu dwóch dróg, kawał gruntu i wybudował na nim parterowy, drewniany dom mieszkalny z dwiema werandami i z szeregiem dużych jasnych pokoi. W wiel-

fiorował bezinteresownie owoc wieloletnich prac badawczych w Tatrach — ok. 3 tysięcy minerałów. Badał i zbierał okazy flory tatrzańskiej, głównie mchy, której poświęcił całą monografię napisaną w języku łacińskim, uznaną przez naukowców jako jedną z najlepszych prac tego rodzaju w świecie. Aby uchronić od zapomnienia twórczość ludową Podhala, zbierał i opracowywał do druku podania, legendy i pieśni ludu góralskiego.

To, że Zakopane stało się miejscowością klimatyczną, było dziełem właśnie Chałubińskiego. Poznawszy jego wartości uzdrowiskowe, założył Stację Klimatyczną i opracował dla niej ustawę, zatwierdzoną później dzięki jego staraniom przez władze. Od tej chwili zaczęli tłumnie zjeżdżać do Zakopanego turyści z kraju i zagranicy. Jedni dla zwiedzania malowniczych okolic, inni znów dla polepszenia stanu zdrowia.

W niemałym stopniu przyczynił się dr Chałubiński również do budowy dworca tatrzańskiego. W restauracji kolejowej spotykał się często z odwiedzającymi Zakopane pisarzami, artystami, politykami. Przychodzili tu prawie co wieczór na pogawiedki z „królem tatrzańskim” — Wł. Ł. Anczyce, Adam Asnyk, Pawlikowscy i inni. Tu, z okazji imienin lub innych uroczystości, fetowano serdecznie dra Tytusa i wznoszono toasty na jego cześć. Na jednym z takich przyjęć, w sierpniu 1881 r., na które zaproszono prócz przebywających podówczas w Zakopanem gości, także wielu górali, Anczyce wznosił na cześć Chałubińskiego dłuższy wierszowany toast, w którym m. in. tak mówił:

„Jedno nas uczucie dziś tutaj
gromadzi,
A mniejsza, kto w jakim zrodził się
zaborze:
Wszyscy Cię kochamy, wszyscyśmy
Ci radzi,
I wszyscy Cię uczyć chcą, zacyt
Doktorze,
Za tyle poświęceń, za trudy i cnoty
I serce Twoje złote, i humor Twój
złoty”.

Nie zapominał Chałubiński o góralach, o polepszeniu ich losu. Założył dwie szkoły: syncerską i koronkarską, w których mogła się uczyć i zdobywać zawód młodzież góralska. Przy pomocy serdecznego przyjaciela, pierwszego proboszcza Zakopanego, ks. J. Stolarczyka, starał się podnieść na wyższy poziom zaniedbane rolnictwo, ulepszyć i usprawnić uprawę ziemi, zwiększyć jej wydajność. On pierwszy sprowadził na Podhalę koniczyne i nauczył górali jej uprawy. Już w 1873 r., kiedy po raz trzeci, ale jeszcze nie na stały pobyt, przybył do Zakopanego, obmyślał wiele planów, dotyczących uzdrowiska i górali.

III.

Słynne były wycieczki dra Chałubińskiego w Tatry. Opisywano je później w relacjach i we wspomnieniach ich uczestników w prasie, a nawet w oddzielnych publikacjach książkowych. Przedsiębrał je „król tatrzański” przeważnie w liczniejszym towarzystwie: kilku lub kilkunastu zaproszonych osób i kilkadziesiąciu górali. Ponieważ wybierano się zawsze na kilka lub kilkanaście dni, zabierano ze sobą cały tabor z namiotami, pościelami, żywnością, odzieżą i naczyńiami.

Wycieczka z Zakopanego wyruszała w niezwykle uroczysty sposób. Na czele kroczyła orkiestra góralska ze słynnym Sabałą, przygrywającym na gęślikach piosenki starogóralskie. Za nim kroczył pierwszy skrzypek i przewodnik orkiestry, słynny Bartek Obrochta. Inni górale grali na basetli, kobzie i harmonii. Za orkiestrą podążali przewodnicy: Szymon Tatar i Wojciech Roj oraz górale, sprawujący różne czynności, jak specjalisci od noszenia i rozbiierania namiotów, tancerze, krawiec, fryzjer itp. Najmłodszy 12-letni góral, syn Wojciecha Roja, Janek, jako przyboczny osobisty „adjużant” Chałubińskiego, niośł zielenik i skrzynkę na mchy. Za góralami kroczył dr Tytus w towarzystwie zaproszonych gości lub żony, którą górale nieśli na zaimprovizowanej lektyce. W końcu szło kilkunastu tragarzy, niosących różne toboły i ciężary.

Wycieczki takie z towarzyszeniem orkiestry zapuszczały się w najodleglejsze góry i zdobywały nieraz ich szczyty. Noce spędzano przeważnie nad brzegami jezior, w lasach lub w kotlinach górskich. Rozpalano wtedy ogniska i rozkładano namioty. Wieczory, przed ułożeniem się do snu, spędzano na tańcach przy wtórze orkiestry, piosenkach góralskich lub opowiadaniach Sabały o dawnych przygodach kiedy zbrojnikował na Węgrzech i polował na niedźwiedzie.

Nieraz w wycieczkach w Tatry brali udział cudzoziemcy. Byli nimi w 1882 r. dwaj Belgowie: burmistrz Brukseli Charles Buis i prezydent belgijskiej Izby Deputowanych August Couvrent. Zwiedzili Tatry Zachodnie i Wysokie.

W 1887 r., Chałubiński odbył ostatnią w swym życiu wycieczkę na Rohacz. Z wycieczki tej nie mógł już powrócić do Zakopanego o własnych siłach. Przywieziono go ciężko chorego na zapalenie płuc. Od tego czasu nie wychylał się już prawie poza obręb swego domu. Ostatnie chwile swego życia spędził w walce z ciągle rozwijającą się chorobą, przeciwstawiając się jej całą siłą woli i umysłu. Codziennie odpowiadał go już sparaliżowanego przyjaciela z blizszych i dalszych okolic i pocieszał go jak mogli.

Na wiadomość o chorobie dra Tytusa, przybył do Zakopanego bawiający na gościnnych występach w Krakowie Ignacy Paderewski. Nie powstrzymały go od odwiedzenia serdecznego druha ani słoty, ani wichry jesienne. Pierwsze swe kroki skierował do Chałubińskiego i spędził z nim cały wieczór na serdecznej rozmowie. Pocieszał go i na pożegnanie dał jedyny swego rodzaju koncert z utworów Beethovena, Schumanna, Chopina oraz własnych utworów. Uczestniczył w tym występie Henryk Sienkiewicz. Odegrała przez Paderewskiego „Sonata księżycowa” Beethovena, uczyniła na pisarza tak ogromne wrażenie, iż dał temu wyraz w powieści „Bez dogmatu” w opisie koncertu Hilstówny.

W kilka tygodni później, dnia 4 listopada 1889 r., dr T. Chałubiński zmarł. Zgodnie z jego życzeniem pochowano go na miejscowym cmentarzu obok grobów górali i mieszkańców Zakopanego.

FRANCISZEK LEWANDOWSKI



Foto: W. Parys

U PRZYJACIÓŁ

Niedawno w ZSRR obchodzone uroczystości 60 rocznicy Komsumotu. W związku z tym w poprzednim odcinku naszej rubryki zamieściliśmy informację przypominającą o wydarzeniu w działalności teatralnej i filmowej. Dziś chcemy zwrócić uwagę czytelników na działalność edytorską, jaką prowadzi organizacja młodzieży radzieckiej poprzez swą agendę wydawniczą jaką jest „Młoda Gwardia”, powstała na kilka lat po założeniu Komsumotu.

Obecnie „Młoda Gwardia” jest jednym z największych wydawnictw w Związku Radzieckim o uniwersalnym charakterze. Taki charakter wydawnictwa wynika z oczywistego założenia, że nie ma zjawisk i wydarzeń w otaczającym nas świecie, które nie interesowałyby młodzieży. Stąd w programie działalności oficyny znajduje się literatura o najróżnorodniejszych tematach. Ma ona oczywiście swą hierarchię. Naczelne miejsce zajmują publikacje służące kształtowaniu naukowego poglądu młodzieży, wpływające na społeczną i obywatelską aktywność, pomagające w ugruntowaniu socjalistycznych zasad etycznych-moralnych.

O rozmachu wydawnictwa „Młodej Gwardii” najlepiej zaświadczy kilka liczb. Oczół w niespełna 60 lat działalności MG czytelnicy otrzymali ok. 15 tys. tytułów książek w łącznym nakładzie ponad miliard egzemplarzy. W ciągu ostatnich 10 lat wydawnictwo publikuje rocznie od 350 do 400 tytułów o nakładzie ok. 40 mln egz. Mówiąc bardziej obrazowo, „Młoda Gwardia” codziennie dostarcza czytelnikowi jedną książkę, a w roku swego powstania wydano zaledwie 70 tytułów książek i broszur.

Wydawnictwo radzieckiej młodzieży niemal od początku swej działalności podjęło współpracę z wieloma wybitnymi pisarzami. MG była nie tylko edytorem wielu wybitnych poetów, ale także odegrała swą rolę inspirującą powstanie wielu znaczących utworów o tematyce społecznej. Do twórców, którzy w swoim czasie, ściśle współpracowali z MG należał m.in. Michaił Szolochow, publikując tutaj swoją książkę „Opowiadania znanego Donu”. Wydawnictwo ma również na swoim koncie pierwsze wydanie słynnej książki Miłkołaja Ostrowskiego „Jak hartowała się stal” oraz „Młoda Gwardia” Aleksandra Fadiejewa. Ukazały się tu utwory tak popularnych prozaików i poetów jak D. Furmanowa, A. Gajdara, M. Kolcowa, E. Bagrickiego, M. Swietłowa i wielu innych. Znaczące miejsce w działalności edytorskiej MG zajmują utwory pisarzy narodów ZSRR. Dziś są to autorzy szeroko znani poza swoimi republikami i granicami Związku Radzieckiego, jak np. Łotysz — Wilis Laciś, Dagestańczyk — Rasuł Gamzatow, Litwin — Eduardas Miezelelis, Kirgiz — Czingiz Ajmatow i wielu innych.

Specjalnością MG, podobnie jak innych wydawnictw radzieckich, są poszczególne serie edytorskie, obejmujące nie tylko literaturę radziecką i obcojęzyczną, lecz także problematykę naukowo-techniczną, podręczniczą, wspomnieniową, publikację z zakresu etyki i moralności, sportu itd. Ważnym odcinkiem działalności MG jest literatura przekładowa (około 30 pozycji rocznie). W ostatnim okresie młodzi czytelnicy Kraju Rad otrzymali takie serie jak „Poezja liryczna na świecie”, wiele serii poświęconej literaturze bratnich krajów socjalistycznych m.in. polskiej i węgierskiej noweli, poezji czeskiej i niemieckiej.

Po raz 32 organizowaliśmy w kraju Dni Filmu Radzieckiego. Doroczne, listopadowe imprezy pozwalały polskiej publiczności zapoznać się z najnowszym dorobkiem radzieckiej kinematografii. Obecny program „Dni-78” obejmował 12 nowych tytułów i ponad 100 dawnych filmów, wyświetlanych w tym okresie w ponad 9 tys. miejscowościach.

Korzystając z tej okazji chcemy czytelnikom przedstawić jedno z ciekawszych zjawisk w radzieckiej kinematografii lat siedemdziesiątych, jakim jest niewątpliwie masowy dopływ młodych twórców. Świadczy o tym zarówno same liczby, jak i artystyczna ocena dokonana. W latach 73-77 debiutowało pełnometrażowymi filmami 122 reżyserów, którym towarzyszyło wiele debiutów aktorskich, a także debiuty scenarzystów i scenografów. Statystycznie co szósty powstający dziś film fabularny jest dziełem młodego. Zjawisko to nabrało szczególnego rozmachu po opublikowaniu przed dwoma laty uchwały KC KPZR „O pracy z młodzieżą twórczą”, postulującej konieczność uważnej oceny prac młodych twórców, przy zachowaniu wysokich wymagań ideowo-artystycznych wobec ich dzieł.

Jedną z najważniejszych decyzji było utworzenie w „Mosfilmie” eksperymentalnego Młodzieżowego Zespołu Realizatorów Filmowych „Debiut”, którego działalność oparto na niekonwencjonalnych zasadach. Zespół ma produkować rocznie ok. 20 krótkometrażowych filmów fabularnych realizowanych przez debiutantów, przy czym nie są one kierowane do szerokiego rozpowszechniania, lecz mają służyć młodym reżyserom jako swoista „przepróba” do pracy w pełnym metrażu. Oczywiście, niektóre z tych filmów, najbardziej udane, mogą trafić na ekrany kin. Państwo bierze na siebie jednak całkowite ryzyko niepowodzenia, którego koszty są na ogół wysokie, bowiem filmy produkują się w normalnych warunkach studyjnych, pełnym nakładem środków finansowych. Obecnie z zespołem „Debiut” związany jest 40 młodych reżyserów, głównie absolwentów GIK-u i wyższych kursów reżyserkich. W trakcie realizacji znajduje się 17 filmów. Podobne ułatwienia startu młodym filmowcom jak w „Mosfilmie” wprowadza się także w kinematografiach republik radzieckich.

„Królestwa zbrodni i bezprawia”... Tak utarło się nazywać w Ameryce Środkowej Nikaragwę, Gwatemalę, Honduras i Salvador. Kilkadziesiąt lat temu Stany Zjednoczone stworzyły w tych krajach reżimy wojskowo-dyktatorskie, stawiając przed nimi zadanie służenia interesom północnoamerykańskich królów bananów, kawy i cukru. Zadanie to wykonują reżimy przy pomocy sił zbrojnych. Jednakże, jak wskazują fakty ostatnich czasów, dyktatorom coraz trudniej — nawet przy pomocy uzbrojonych po zęby żołnierzy — dławić ruchy wolnościowe narodów Ameryki Łacińskiej.

Stęły wzrost oporu przeciwko dyktaturze klanu Somozy w Nikaragui, zaostrezenie sytuacji w Salvadorze, nowy przewrót wojskowy w Hondurasie, nieustanne wrzenie w Gwatemali... W Ameryce Środkowej, która jeszcze pod wieloma względami pozostaje „rezerwatem” USA, i w której przez długie lata panowała — zdawałoby się — stagnacja, w ostatnich miesiącach gwałtownie zaostreżyły się sprzeczności społeczne i zapachniało wybuchem. Ponieważ prawdziwa reforma agrarna nie została tutaj nigdy urzeczywistniona, wszędzie tutaj gwałtownie się wyrażały chłopskie wyzyski z ziemi. Pragnąc powstrzymać falę niezadowolonych narodów, miejscowe reżimy wojskowe i tym razem sięgnęły do okrutnych represji, gwałcąc wszelkie prawa człowieka.

W Gwatemali mają miejsce masowe prześladowania i zbrodnie dokonywane zarówno przez policję i wojsko, jak i przez skrajnie prawicowe organizacje terrorystyczne. Jedną z nich, tzw. tajna armia antykomunistyczna, działająca zresztą za wiedzą władz wojskowych, zamordowała w końcu października generalnego sekretarza Stowarzyszenia Studentów — Oliviera Castaniedo de Leone. Dwa dni po zabójstwie Leone wykryto zmasakrowane zwłoki jeszcze dziesięciu działaczy miejscowych organizacji społecznych i politycznych. Bezprawie osiągnęło już taki stopień rozpętania, że „tajna armia antykomunistyczna” opublikowała oficjalną listę swoich przyszłych ofiar. Wymienia się w niej 37 nazwisk działaczy, o których wiadomo, iż są w opozycji do reżimu.

Tak więc i w Gwatemali rozgorzało zarzewie walki przeciwko uciśkiwojskowej dyktaturze, miejscowej oligarchii i ich północnoamerykańskim opiekunom. W październiku strajk powszechny sparaliżował życie w kraju. W stolicy i w wielu prowincjonalnych miastach wyrosły barykady. Strajkują robotnicy wielu fabryk, pracownicy transportu, urzędnicy bankowi, pracownicy służby zdrowia, studenci. Mnożą się wystąpienia ludności wiejskiej przeciwko obszarom i amerykańskim monopolom bananów, kawy i cukru. „W Gwatemali nie ma więźniów” — twierdzą cynicznie wojskowi. Wtórnie im kreolska oligarchia. I właściwie nie można się z tym nie zgodzić: w Gwatemali aresztowanych nie osadza się w więzieniach, lecz po prostu zabija się ich na miejscu! Wynik tej „działalności” władz: 30 tysięcy osób — według oficjalnej wersji — „zaginiętych bez wieści” w ciągu ostatnich kilku lat. Inaczej mówiąc — 30 tysięcy politycznych zabójstw.

■ JAPOŃSKIE ROZMOWY ■ PRAWA DZIECKA ■ POTWIERDZONE PRZESZKODY ■ KONIECZNOŚĆ WSPÓŁPRACY

Dwa wydarzenia minionego tygodnia łączą się wprost z polską aktywnością na arenie międzynarodowej. Pierwsze — to oficjalna wizyta premiera P. Jaroszewicza w Japonii, druga — to zaakceptowanie przez Komisję Praw Człowieka ONZ naszego projektu konwencji praw dziecka. Od nich też rozpoczynamy przegląd aktualności.

Celem rozmów polsko-japońskich w Tokio było nawiązanie bliższych kontaktów i rozwinięcie współpracy. Z opublikowanego wspólnego komunikatu wynika, że w tym kierunku poczyniono istotne kroki. I tak: zgodnie stwierdzono, że istnieje możliwość poszerzenia stosunków gospodarczych i handlowych, podpisanie umów o współpracy w dziedzinie nauki i techniki, osiągnięto porozumienie co do zawarcia w bliskim czasie umowy o zapobieganiu podwójnemu opodatkowaniu i umowy o komunikacji lotniczej, omówiono perspektywy rozszerzenia wymiany kulturalnej i dokonano na ten temat wymiany not...

Przedmiotem rozmów były również zagadnienia międzynarodowe. Komunikat odnotowuje, że obie strony potwierdziły swe przekonanie, że „stosunki między wszystkimi państwami

Poczynając od 1934 roku, kiedy to w wyniku interwencji najmniejszych, przygotowanej przez CIA, obalono prezydenta Arbenza, który wywodził z ziemi amerykański koncern United Fruit Company, najemni mordery, pozostający na usługach wielkich właścicieli ziemskich oraz paramilitarne grupy skrajnie prawicowych bojówkarzy przekształciły życie Gwatemalczyków w koszmar. Z bogostawieństwa władz krew leje się strumieniami. Uciekinierzy z Gwatemali opowiadają, że na przykład we wsi Pansos, w północno-wschodniej części kraju, oprawcy zepchnęli z krawia zamordowali 100 chłopów, którzy domagali się zwrotu ziemi. W prasie zachodniej nie napisano o tym ani jednego słowa. Wielu przywódców organizacji chłopskich i stworzonych nieślawno Komitetu Jedności Chłopskiej opowiadało zagranicznym korespondentom, że masowej zbrodni w Pansos dokonano z premedytacją. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: kiedy bardzo niedawno zapachniało na tych ziemiach naftą, runęły na nią setki obszarników, wyższych urzędników i wojskowych dygnitarzy. Zagarnęli oni tysiące hektarów tej „ziemi obiecanej”, wypędzając z niej tysiące Indian (80 proc. ludności wsi

GWATEMALA ZBRODNIA W PANSOS

Pansos stanowią Indianie). Ogromne złoża ropy naftowej odkryto także w rejonie Peten Verapaz. Ponieważ miejscowym kombinatom i ponadnarodowym korporacjom potrzebne są „porządek i stabilizacja” w wysiłkach pomnażania zysków, „oczyszczaniem” tego ropoźnośnego rejonu kraju zajmują się specjalne formacje wojskowe, tzw. cibiles, zorganizowane na wzór i podobieństwo „zielonych beretów”. Ile monopolu USA rządzi w Gwatemali, nikt dokładnie nie wie. Na pewno wiadomo tylko jedno: czują się one tutaj doskonale.

Dramat w tym uciśkanym kraju trwa już ponad 20 lat. Gwałt wyniesiony do rangi polityki państwowej stał się środkiem rządzenia. W imię tzw. doktryny bezpieczeństwa narodowego i walki z komunizmem, poniza się godność ludzka, dławią najmniejszy odruch opozycji. Jednakże powoli nabiera siły ruch ludowy, choć czasem jest niekonsekwentny. Niemniej organizuje się on i poszukuje dróg do jednoci. Zaostrza się konflikt społeczny, i nie może się nie zaostrzać tam, gdzie 66 proc. ziemi ornej należy do 1,8 proc. właścicieli ziemskich. Tysiące głodnych, bezrolnych chłopów — a jest ich co najmniej pół miliona — coraz częściej jednoczą się i żądają ziemi. Nowym zjawiskiem jest wzrost świadomości politycznej mas ludności indiańskiej. Ruch chłopski nabiera realnej siły, chociaż jego skala nie jest jednakowa w różnych rejonach kraju. Wielu chłopów pracuje na plantacjach kawy, bawełny, bananów i trzciny cukrowej i tworzy półproletariat, który

jest najbardziej bojowym elementem w ruchu chłopskim. Inni chłopci, zamieszkałi przede wszystkim na wysokościach paskowych, uprawiają na swoich skrawkach ziemi i prowadzą żądną egzystencję, żywiąc się wyłącznie bobem. Śmiertelność wśród dzieci jest tam jedna z najwyższych w świecie: 86 dzieci na 1000. Ostrość sprzeczności społecznej może w każdej chwili spowodować wybuch.

W latach 1960—1970 przywódcy ruchów studenckich uznawali tylko jedną formę walki — walkę zbrojną. Ich odmowa udziału w masowych wystąpieniach mas pracujących miała negatywne skutki. Teraz następuje jednak zrozumienie potrzeby ogólnonarodowego ruchu wolnościowego.

1 lipca 1978 roku gen. Romeo Lucas Garcia wymienił innego generała, Laugerud, odnosząc zwycięstwo w wyborach prezydenckich, które były zresztą bezcelną farsą. 60 proc. wyborców wstrzymało się od głosowania. Różne frakcje oligarchii przez pewien czas obwiniały się wzajemnie o oszustwa i korupcję. Dziś, rodzinne nieporozumienia już załagodzono. Partia Instytucjonalno-Demokratyczna, Partia „Rewolucyjna” (cudzoziemski prosi się sam) i profaszystowski Ruch Wyzwolenia Narodowego

polubownie podzieliły między siebie władzę i źródła bogactw.

Gwatemalska Partia Pracy (komunistyczna) i Zjednoczony Front Rewolucyjny (cierierne liberalny) wezwały do zwołowania zgromadzenia. Przywódcą Zjednoczonego Frontu, Manuel Colon Argeta uważa, iż „latinoamerykańskie ruchy antydyktatorskie muszą zawrzeć międzynarodowe przyrzeczenie, które by mogło zneutralizować czynniki zewnętrzne”.

Wydarzenia w dzisiejszej Gwatemali są zapowiedzią nowych walk. Są one konsekwencją walki narodu, który nie chce się pogodzić ze swoim losem. Przywódcy ruchów rewolucyjnych uważają, że „potrzeba będzie jeszcze czasu i ofiar, żeby zwyciężyć rozbiście siły antyfaszystowskie i dostosować strategię walki narodowej do nowych warunków. Jeśli stopień zorganizowania mas pracujących będzie coraz wyższy, represje stracą na impetie. Gwatemala nie jest cmentarzem. Walczy i wygrała już nie jedną bitwę”.

Komisja Obrony Praw Człowieka w krajach Ameryki Środkowej w San Jose (Kostaryka) doszła do jednomyślnego wniosku, iż w Nikaragui, Gwatemali, Salvadorze i Hondurasie dyktatorzy, popierani przez Waszyngton, nieustannie naruszają prawa człowieka. W opublikowanym komunikacie, po zbadaaniu licznych doniesień osób którym udało się opuścić Gwatemalę i Salvador, komisja stwierdza masowe represje i zbrodnie dokonywane na ludności cywilnej.

JERZY CZECH

poliska wysuńca projekt, aby deklarację, związaną z tymi obchodami, przekształcić w wiążący akt — Konwencję Praw Dziecka. W naszej wersji dokumentu akcentuje się, że każde dziecko ma prawo do życia i rozwoju w warunkach moralnego i fizycznego zdrowia, socjalnego bezpieczeństwa, w atmosferze wolności i pokoju, a także — do ochrony przed wyzyskiem. Projekt konwencji określa ponadto obowiązki rodziny i społeczeństwa, wynikające z tych praw.

Poliska inicjatywa została zaakceptowana przez Komisję Praw Człowieka ONZ i będzie przedłożona przyszłorocznej sesji Zgromadzenia Ogólnego.

Chcielibyśmy zwrócić uwagę na logiczne następstwo działań na międzynarodowym forum — jesteśmy inicjatorami deklaracji o wychowaniu społeczeństw w duchu pokoju oraz konwencji o prawach dziecka. Jest między tymi inicjatywami zrozumiałe junctum.

W przeglądzie wydarzeń tygodnia trudno nie wspomnieć o toczących się już od ponad 5 tygodni rozmowach egipsko-izraelskich w sprawie zawarcia traktatu. Komentatorzy zachodni dają wyraz niepokojom co do dalszego przebiegu rokowań. Również prez. Carter na spotkaniu z dziennikarzami mówił z pewną frustracją o przeszkodach, blokujących osiągnięcie celu. Ujawnił, że „w paru przypadkach może okazać się konieczne zmodyfikowanie porozumienia z Camp David”. Nie wykluczył możliwości ponownego trójstronnego szczytu.

Podobno jedną z przyczyn trudności w rokowaniach na obecnym etapie jest fakt przedłożenia przez Egipt nowych propozycji połączenia traktatu z kwestią palestyńską. Nie znamy jeszcze szcze-

Z ŁAMÓW PRASY ŚWIATOWEJ

● Podczas swojej niedawnej wizyty w ChRL, J. Schlesinger, były szef Pentagonu a obecnie minister energetyki USA, został przyjęty przez Hua Kuo-fenga, Li Sien-niena i innych chińskich przywódców. Wg informacji pochodzących ze źródeł amerykańskich, podczas rozmów ze Schlesingerem chiński przywódca zapoznał go z wewnątrzpolitycznym rozwojem sytuacji w Chinach po śmierci Mao Tse-tunga i o planach taw. czterech modernizacji.

Jak wiadomo, Schlesinger wykazał szczególne zainteresowanie kwestią wydobycia ropy w ChRL i zaproponował kontynuowanie rozmów dotyczących udziału amerykańskich kompanii naftowych w poszukiwaniach i wydobyciu ropy naftowej w Chinach. Ponadto minister energetyki USA wysunął propozycję ewentualnej współpracy w celu zwiększenia wydobycia węgla w ChRL i budowie elektrowni wodnej na rzece Jangcy. Jednakże nie poinformowano o jakimś konkretnym porozumieniu w tych sprawach.

Zazwyczaj dobrze poinformowana „Wall Street Journal” zauważa, iż „polityczne znaczenie tej wizyty przewyższa znaczenie wszelkich technicznych porozumień zawartych w Pekinie”. O tym, jakie polityczne aspekty stosunków amerykańsko-chińskich omawiali przedstawiciele obu krajów, dają wyobrażenie wypowiedzi Schlesingera, który, zabierając głos na przyjęciu w Chharbinie powiedział, iż „połącza Chin jest dla Stanów Zjednoczonych sprawą szczególnie ważną”. O swoim zamiarze przyspieszenia programu czterech modernizacji Chin, przewidującego przede wszystkim modernizację potencjału wojskowo-ekonomicznego kraju, podkreślał podczas spotkań ze Schlesingerem także przywódca Pekin.

Charakterystyczne, iż w komentarzach amerykańskiej prasy poświęconych wizycie Schlesingera w ChRL kładzie się akcent nie tyle na zagadnienia współpracy obu krajów w dziedzinie energetyki, ile na fakcie, iż Chińczycy „wykorzystali wizytę amerykańskiego ministra, żeby jeszcze raz podkreślić swój kurs na przygotowanie do wojny, swoje zamiary — w oparciu o pomoc określonych kół Zachodu — zwiększenia w szybkim tempie militarnego potencjału kraju”. Jeśli zaś chodzi o powody szczególnej uwagi, jaką okazali przywódcy chińscy Schlesingerowi, to prasa amerykańska zauważa, iż ten wysoko postawiony wysłannik Waszyngtonu, gdy był jeszcze min. obrony USA zachwalał siebie jako przeciwnika pozytywnej zmiany w relacjach amerykańsko-chińskich, pogłębiając odprężenie i jednocześnie jako zwolennika zbliżenia z Pekinem. „Wall Street Journal”, komentując wizytę w Schlesingera w ChRL zwraca uwagę, że jest ona „kontynuacją podróży do Chin w maju tego roku doradcy prezydenta USA do spraw bezpieczeństwa narodowego Z. Brzezinskiego”. Jak wiadomo, podczas swego pobytu w ChRL Brzezinski usilnie zabiegał o współpracę USA i Chin.

● „Control Data Corporation” poinformowała jednocześnie w Minneapolis (USA) i Moskwie, że otrzymała pozwolenie rządu amerykańskiego na udostępnienie swojej komputerowej służby informacyjnej „Technet” Związkowi Radzieckiemu i Europie Wschodniej, oraz że otwiera własny oddział w stolicy ZSRR. W Moskwie wiceprezydent kompanii „Control Data” R. Schmid powiedział, że abonenci w Związku Radzieckim będą otrzymywać informacje systemem „Technet” przez kanały telefoniczne sprzężone z ośrodkami obliczeniowymi w Brukseli. System zawiera krótkie opisy proponowanych dla przekazu procesów technologicznych, przyjmując zgłoszenia na technologie i informacje o miejscu zamówień, informuje o technicznych konsultacjach itp. Przedstawiciel kompanii w Minneapolis podkreślił, iż przy podejmowaniu decyzji w sprawie otwarcia oddziału „Control Data” w Moskwie brano pod uwagę przede wszystkim udostępnienie światu zachodniemu informacji o radzieckiej technologii.

(E)

gół, ale można domniemywać, że prez. Sadat, który w pierwszej chwili ostro, a nawet wulgarnie wypowiedział się o szczytach państw arabskich w Bejrucie — teraz nieco reflektuje się i ze stanowiska większości krajów próbuje wyciągnąć jakieś wnioski.

Tak czy inaczej negocjacje przedłużają się i muszą denerwować Waszyngton, gdzie sądono, że po ustaleniu w Camp David wszystko będzie już proste.

I jeszcze jeden temat: stosunki radziecko-amerykańskie, których wpływ na sytuację międzynarodową jest niewątpliwym.

Oczół w Związku Radzieckim przebywała delegacja senatu amerykańskiego, która przyjechała również do Brzeżin. W czasie spotkania sekretarz generalny KC KPZR podkreślił, że z trzeźwej oceny sytuacji wynika konieczność rozwoju tych stosunków na zasadach całkowitego równouprawnienia, jednakowego bezpieczeństwa, poszanowania suwerenności oraz niemieszania się w sprawy wewnętrzne drugiej strony.

L. Brzeżin m. in. wyraził przekonanie, że szybkie zawarcie nowego porozumienia na temat ograniczenia strategicznych zbrojeń ofensywnych byłoby dowodem na poprawieniu się ogólnej atmosfery stosunków radziecko-amerykańskich.

W toku spotkania dużą uwagę zwrócono na poszukiwanie możliwości do przejęcia przez obie strony rozwiązań trudnych problemów międzynarodowych.

W. SŁAWSKI

TYSIĄC DOLARÓW ZA KURS...

Masowa narkomania, jeszcze kilka lat temu uważana za zjawisko amerykańskie, ogarnęła dziś Zachodnią Europę. Szczególnie szybko i szeroko rozpowszechniła się wśród młodego pokolenia, którego przedstawiciele stanowią 40 procent 18 milionowej armii bezrobotnych w różnych krajach kapitalistycznych. Nie mogą znaleźć pracy, ani swego miejsca w życiu, młodzi ludzie szukają rozpaczyliwie zapomnienia w narkotykach, co powoduje z kolei choroby, degradację osobowości, śmierć. Próby kół rządzących krajów zachodnich, zmierzające do zahamowania nieustannego wzrostu narkomanii kończą się fiaskiem. Walkę z nią utrudniają potężne podziemne syndykaty handlarzy narkotykami, którzy ciągną z tego procederu bajeczne zyski.

„Celnicy rzymskiego portu lotniczego, kontrolując bagaże turystów z Malajzji, wykryli 9 kilogramów brunatnej azjatyckiej heroiny, podobnej do cukru. W Paryżu ciała narkomanów zmarłych od śmiertelnej dawki heroiny, znajduje się w dworcowych toaletach i w zakamarkach ulic. W Londynie handlarza heroiną przyłapano w sądzie, iż zaopatrywał w ten narkotyk 900 miejscowych narkomanów. Każdej niedzieli spiker radia w Amsterdamie informuje słuchaczy o przypuszczalnych cenach na narkotyki w najbliższym tygodniu...

Zachodnioeuropejczyce zetknęli się teraz z tym groźnym problemem na własnym gruncie. Takie „ślabe” narkotyki, jak marihuana czy haszysz są niebawem rozpowszechnione i szczególnie popularne wśród rozczarowanej młodzieży od Hiszpanii aż po kraje skandynawskie. Jednakże szczególny niepokój zachodniej opinii publicznej wzbudza gwałtowny wzrost zapotrzebowania na heroinę. Zaledwie kilka lat temu w Zachodniej Europie liczbą ofiar tego narkotyku nie przekraczała kilkuset. Dziś, jak oceniają specjaliści, jest ich już kilkaset tysięcy. W wielu dużych miastach Zachodu policja informuje o gwałtownym wzroście liczby przestępstw, głównie grabieży z bronią w ręku. Przyczyna: konieczność zdobycia pieniędzy na dzienną dawkę heroiny. Tysiące rodziców chwytają się za głowy dowiadując się, że ich dzieci przyzwyczaiły się do „najłobniejszego narkotyku”. W 1976 roku wskutek nadużycia heroiny zmarło w RFN 325 osób, we Francji — 59, we Włoszech — 50, w Szwecji — 18...

„ZŁOTY TRÓJKĄT”

Zachodnioeuropejska policja i służba zdrowia nie od razu oceniły rozmiary gwałtownej katastrofy. Zgodnie z prognoząmi ekspertów, w najbliższych latach rozpowszechnianie się heroiny w Zachodniej Europie wykaże raczej wzrost, niż tendencję spadkową. Problem narkomanii narodził się w początkach lat 60-tych. W 1972 roku w Zachodniej Europie powstał, jak powiedział pewien amerykański ekspert, „bardzo obiecujący rynek zbytu białej heroiny produkowanej na południu Francji”. Kiedy francuskim handlarzom narkotykami udało się już nasycić miejscowy rynek, władze podjęły spóźnione próby zlikwidowania cieżącego się zła. Amerykańskim i miejscowym agentom do walki z narkotykami udało się jednak położyć kres działalności większości amerykańskich laboratoriów, w których produkowano heroinę. I chociaż w Zachodniej

Europie popyt na silnie działające narkotyki zwiększał się z dnia na dzień, najbardziej wydajne źródło ich podaży przestało funkcjonować. Wytworzoną próżnię zapelnili natychmiast ruchliwi handlarze heroiną z Hongkongu i Bangkoku. Śmiercionośny ładunek, ukrywany w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, przetrząsał się małymi i dużymi partiami z południowo-wschodniej Azji do zachodnioeuropejskich miast. Znaczna część heroiny „podróżuje” w małych plastikowych paczuszkach. Przemycana z przelazowego „Złotego trójkąta” — z rejonu granic państwowych między Chinami, Birmą i Tajlandią — jest tak daleko popularna w Zachodniej Europie, że zaojowała około 90 proc. czarnego rynku narkotykami, który przeżywa obecnie niebywały boom.

HEROINA... HEROINA...

Surowiec — opium z maku hodowanego w „Złotym trójkącie” — przemycany się do laboratoriów dobrze ukrytych w górach na granicy Birmy i Tajlandii. Tutaj chemicy-emigranci, przede wszystkim z Szanghaju, produkują z opium dwa rodzaje heroiny: tzw. brunatny cukier, zazwyczaj używany przez palaczy oraz oczyszczony w 90 procentach mlecznobiały proszek, wprowadzany przez iniekcję. Po tych oczyszczających zabiegach dostarcza się heroinę do międzynarodowego ośrodka handlu narkotykami w Bangkoku, a stąd — do Zachodniej Europy. Częściowo przemycana się ją również do innych krajów azjatyckich na tajlandzkiej kładzie rybackiej, z których wyrzucano się narkotyki do wody w szesnastych plastikowych kontenerach, w uprzednio wyznaczonych miejscach. Towar wydobywają z dna morskiego nowi pośrednicy i na brzegu przekazują go specjalnym kurierom, którzy przewożą heroinę do Zachodniej Europy transportem lotniczym. Wербowanie kurierów nie następuje trudności. Za przewiezienie w ręcznym bagażu niewielkiej partii tego narkotyku kurier otrzymuje tysiąc dolarów gotówką plus opłata za bilet lotniczy. Niedawno jednym kursem z Malajzji do Zachodniej Europy przybyli pasażerowie, spośród których agenci do walki z narkotykami wyłowili ni mniej ni więcej, tylko 19 takich kurierów. Istnieje wiele sposobów przewożenia heroiny także dużymi partiami, ale — jak powiedział pewien agent służby do walki z narkotykami w Hongkongu — wiadomo tylko o takich sposobach dostaw, które agenci odkrywają; najbardziej fińskie są te, o których do dziś nie wiadomo.

Nikt dokładnie nie wie, kto właściwie stoi za handlem narkotykami. Władze policyjne krajów Zachodu uważają, że istnieje 10 — 12 wielkich podziemnych syndykatów z ośrodkami dyspozycji w Hongkongu i Bangkoku, którymi kierują Chińczycy osiedleni w Południowo-wschodniej Azji. Odizolowani, skryci z natury, stworzyli ponoć osobliwe „tajne stowarzyszenie”, rozwijające działalność w całym tym rejonie świata, jak również w chińskich dzielnicach miast Zachodniej Europy i USA. Hongkong, z jego liberalnym stosunkiem do wątpliwych źródeł dochodów, jest dla podziemnych syndykatów centralnym ośrodkiem finansowym, w którym wielomilionowe zyski ze zbytu narkotyków „oczyszczają się” w takich cieżonych instytucjach, jak teatry, kina, kluby, restauracje czy sklepy jubilerskie. Bossowie handlu narkotykami korzystają z usług podziemnych grup wielonarodowej mafii, zatrudniając członków tych band w charakterze „goryli”, ulicznych sprzedawców narkotyków itp.

„AZJATYCKI KANAŁ”

Podczas wojny w Wietnamie chińscy handlarze narkotykami bez trudu znajdowali licznych nabywców wśród amerykańskich żołnierzy. W miarę jak wojna miała się ku końcowi, coraz więcej stałych „konsumentów” uciekało z Wietnamu. Potrzebny był nowy rynek zbytu i wydawało się, iż Zachodnia Europa, z jej palaczkami opium i morfinistami, dojdzie już do tej „szczytnej” roli. Zamiast charakterystycznej społeczności w Południowo-wschodniej Azji i kolosalne dochody z handlu narkotykami, w pewnej części przeznaczone także na łapówki dla rządowych oficerów, zawsze chłonny podziemny syndykat przed próbami władz, zmierzającymi do ich likwidacji. Jednakże wskutek zastraszającego rozpowszechniania się narkomanii również w krajach Południowo-wschodniej Azji, tamtejsze władze państwowe zaczęły przejawiać więcej zdecydowania. Korzystając ze śmigłowców tajlandzkiej policji przeprowadzają naloty z powietrza na rejon, w których znajdują się przypuszczalnie laboratoria produkujące heroinę. Obecnie, przynajmniej w słowach, problem ten znajduje się w centrum zainteresowania tutejszego rządu.

Niemniej do rozwiązania problemu jest jeszcze bardzo daleko. Zgodnie z ogólną oceną, władzom policyjnym udaje się przechwytywać zaledwie dziesiątą część narkotyków płynących z podziemnego strumienia syndykatów. Także handlarze heroiną nauczyli się przeprowadzać kontrakcje, tym bardziej, iż wylonili się problemy co do koordynacji wysiłków w walce z tą plagą XX wieku. Wśród agentów policji z krajów azjatyckich wzbudza niechęć tendencja ich zachodnioeuropejskich kolegów do twierdzeń, jakoby istnieł „tylko dostawca z Południowo-wschodniej Azji i ich ofiary w Zachodniej Europie”. Ich zdaniem, gdyby Zachód zlikwidował popyt „u siebie w domu”, oni mogliby zlikwidować podaż. Niektórzy Azjaci oskarżają także Zachodnioeuropejczyków, że tradycyjnie ignorowali niebezpieczeństwo zagrażające ze strony chińskich dzielnic w miastach Zachodniej Europy i USA.

Zaraz po tym jak postanowiono „opanować” Zachodnią Europę, nowy „azjatycki kanał” przysłał do dzieła. Jako bazę wybrano Amsterdam. Dużą rolę w tym wyborze odegrała pobłażliwość władz holenderskich oraz nieprzewidywalne trudności w dotarciu do tajemnego podziemnego działacza chińskiego getta. Kurierzy z nie oczyszczonej heroiną rozpoczęli masową inwazję na Amsterdam. W ukrytych miejscach na przedmieściach miasta przerabiano heroinę na czysty produkt i małymi par-

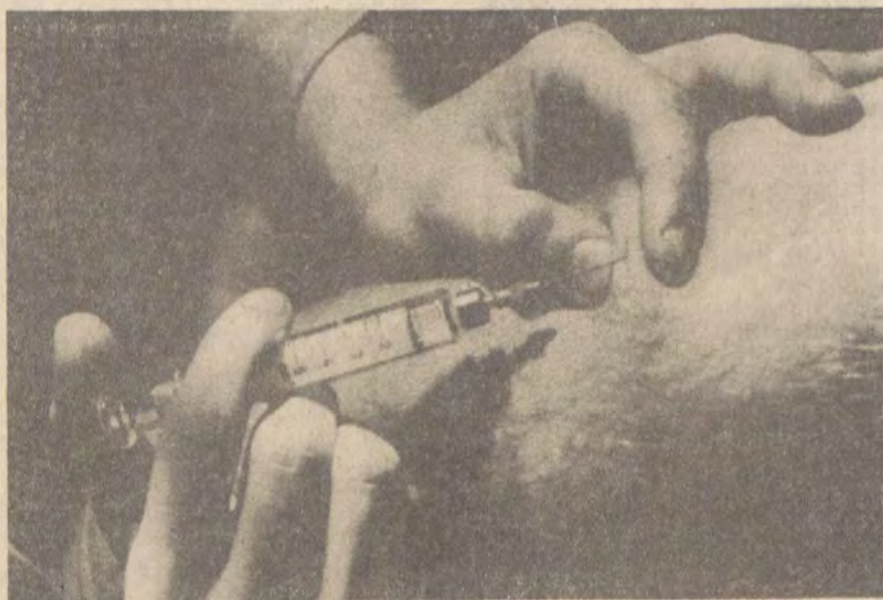


Foto: W. Parys

tiami dostarczano ją handlarzom w całej Europie.

SPOŁECZNE TŁO NARKOMANI

Seria aresztowań przemytników w 1975 roku w Zachodniej Europie ujawniła prawdziwe rozmiary gwałtownie szerzącego się handlu narkotykami. Do tego czasu główni dostawcy zdążyli zacieśnić swoje kontakty i umocnić pozycję. Było zbyt późno by zahamować to, co już przerodziło się w prawdziwą epidemię. Naczelny inspektor brygady do walki z narkotykami w Amsterdamie, Gerard Fourenard, zdaje sobie doskonale sprawę, iż policji udaje się złowić tylko drobne plotki, podczas gdy rekin tego biznesu pozostają na wolności. Ale przechwytywanie nawet kurierów też nie należy do łatwych zadań. Gdy władze holenderskie zwiększyły czujność i wprowadziły ścisłą kontrolę na lotnisku w Amsterdamie, przemytnicy zaczęli dostarczać swoje przemytnictwo do lotniskach we Frankfurcie, Monachium, w Brukseli, Zurichu, Mediolanie i na dziesiątkach innych lotnisk zachodnioeuropejskich miast. Na granicy między Holandią a RFN zatrzymano w ub. roku ponad 1200 przemytników heroiny. Jednakże skala tego przemytnictwa jest tak ogromna, że tysiące innych kurierów wiozących narkotyki spokojnie dociera do celu. Naczelnik policji kryminalnej RFN informuje, iż między Amsterdamem i RFN kursują całe chmary handlarzy heroiną. Zdaniem włoskiej policji ta heroinowa fala unosi także mnóstwo drobnych handlarzy przemycających jednorazowo zaledwie po 200—300 gramów narkotyku, że praktycznie rzecz biorąc, zamknąć tych wszystkich ścieżek nie sposób.

Podczas gdy policja, bezskutecznie stara się położyć kres przemytnictwu heroiny, lekarze i socjologzy badają przyczyny wciąż rosnącego popytu na narkotyki. Próbuja przeprowadzić analizę, dlaczego zachodnioeuropejska młodzież nagle uzależniła się od tak silnie działającego i rujnującego narkotyku. I dochodzą do bardzo smutnych wniosków. Obok zwyczajnych przyczyn uzależnienia się od tej trucizny, jak łatwość kupna, ciekawość, wpływ rówieśników, specjaliści wskazują na głębokie przyczyny tej epidemii, a głównie na masowe bezrobocie wśród młodzieży krajów zachodnioeuropejskich. Tolerancja z jaką przez długi czas odnoszono się w Zachodniej Europie do słabszych preparatów narkotycznych także pogłę-

biła problem. Wiele lat policja w Amsterdamie patrzyła przez palce na młodzież, która, wcale się z tym nie kryjąc, wprost na ulicach paliła haszysz i marihuane. W ostatnich czasach używanie narkotyków stało się powszechnym zjawiskiem podczas przeróżnych spotkań i wieczorów w każdym zachodnioeuropejskim kraju. Tysiące zamożnych Włochów przyzwyczaiło się do kokainy. W Madrycie wiele nocnych lokali jest przesyconych zapachem haszyszu.

NAWET NA SZKOLNYCH BOISKACH

Narkoman musi co 4 — 6 godzin zażywać kolejną dawkę heroiny, w przeciwnym razie doznaje silnych nekających bólów powodujących zamroczenie. Tylko bardzo nieliczni narkomani mogą się wyżyć nalogu bez specjalistycznej pomocy lekarskiej. Zresztą znalezienie takiej pomocy jest praktycznie niemożliwe. W Szwecji, gdzie jest około 2 tysięcy ofiar heroiny działa tylko jeden mały ośrodek leczenia odwykowego. W RFN brak dotąd ogólnonarodowego programu zwalczania narkomanii. W całym kraju jest zaledwie 15 ośrodków leczenia narkomanów dla 30—40 pacjentów każdy. A skądinąd wiadomo, iż uczniowie starszych klas szkół średnich, nawet w małych zachodniemiejskich miastach systematycznie korzystają z usług handlarzy heroiną. Rząd francuski subsydiuje działalność tylko niewielkiej liczby specjalnych zakładów leczniczych tego typu. Władze miejskie Paryża asygnują środki na leczenie narkomanów w szpitalu Marmottane, ale ogólnego programu walki z szybko rosnącym uzależnieniem się od heroiny także nie ma. Gwałtownie pogorszyła się sytuacja w Anglii, gdzie handel narkotykami nabiera coraz większych obrotów. Część społeczeństw Zachodniej Europy zaczyna zdawać sobie sprawę z niezwykle poważnej sytuacji. Jeśli zaś chodzi o proponowane sposoby rozwiązania tego problemu, to tylko niewielu ludzi wierzy w ich skuteczność. Władze na Zachodzie nie mogą powiedzieć na pewno, czy zachodnioeuropejska epidemia uzależnienia się od heroiny osiągnęła szczyt i została opanowana. Wprost przeciwnie, wszystko wskazuje na to, że nabytci heroiny na ulicach miast Zachodniej Europy, a nawet na boiskach szkolnych, jest łatwiej jak nigdy dotąd, zaś liczba ofiar masowej narkomanii rośnie w zastraszającym tempie.

(Opr. J. C.)

JOHN S. LANG

MORALNOŚĆ W BIZNESIE

Wątpliwe transakcje z gatunku ukręcanych od lat przez korporacje amerykańskie są coraz częściej wyciągane na światło dzienne. Ludzie prowadzący śledztwa przytaczają dowody świadczące, że łapówki, przekupstwa i inne niedobre świadczenia stały się dla wielu firm zwykłą praktyką. Pewien ekspert ocenia, że rozmiar potajemnych płatności sięga 13 mld dolarów. Izba Handlowa USA twierdzi, że wszelkie formy przestępstw gospodarczych — nie tylko łapówki ale również defraudacje, sprzeniewierzenia, kradzieże i inne — kosztują konsumentów 40 mld dolarów rocznie w postaci wyższych cen i opłat. Jest to nieporównywalne ze stratami rzędu 1 mld powstałymi w wyniku zwykłej przestępczości kryminalnej.

Rozłożenie wokół ukrytych świadczeń pochnął do działania zarówno agencje rządowe jak i sfera gospodarcza. Władze federalne, stanowe i lokalne nagle prowadzą śledztwa i ścigają pogwałcenia prawa, które do tej pory praktycznie ignorowały. Kompanie, zatroskane negatywnym obrazem u

opinii publicznej, jak też możliwością pociągnięcia do odpowiedzialności sądowej rewidują swoje praktyki, a w niektórych wypadkach wprowadzają surowy kodeks etyczny zabraniający płatności i rabatów uważanych do tej pory za srogi zasada.

Handlowcy, prokuratorzy i specjaliści nauk społecznych obstają przy poeładzie, że wieksza część handlu w USA jest prowadzona uczciwie. Tym bardziej że ujawnione ostatnio nielegalne praktyki spowodowały ośnienie na kół interesu, by dawać one podwójne gwarancje uczciwości transakcji, bowiem w przeciwnym wypadku istnieje ryzyko wprowadzenia przez rząd ostrzejszych przepisów i dalszej utraty zaufania publicznego. Róje agentów federalnych i prawników, często pracujących potajemnie w oddziałach specjalnych, które wychodzą poza stare bariery sądowicze, przekonują się szerokim frontem przez dokumentację działalności wielkich towarzystw obejmująca sprawy od międzynarodowego handlu bronią do transakcji nielegalnych handlarzy alkoholem w Alabamie.

Instytut Harrisa informuje tymczasem, że badania opinii publicznej prowadzone od 1973 roku wykazują średnio tylko ok. 20 proc. osób posiadających duże zaufanie do ludzi kierujących wielkimi towarzystwami. Stanowi to drastyczny spadek w porównaniu z 55 procentami badanych dających wyraz dużemu zaufaniu do szefów biznesu w 1966 roku.

Dzisiejsze zainteresowanie korupcją działalnością wielkiego biznesu jest w dużej mierze spowodowane przesłuchaniami w sprawie Watergate, które ujawniły nielegalne świadczenia na rzecz partii politycznych przez korporacje. Komisja Panierów Wartościowych i Walut (SEC) powołała podzielenia wobec tajnych funduszy promogandowych wykrytych w tym czasie i wydała polecenie wszystkim przedsiębiorcom by przedstawili rachunki na wszelkie wątpliwe wpłaty, gdyż w przeciwnym wypadku zostanie wdrożone śledztwo.

Około 450 firm, w tym również największe w kraju, ujawniło tajne wpłaty zarówno na terenie USA jak i za granicą. Wśród przedsiębiorstw, które zeznaly przed SEC, że dokonywały nielegalnych wpłat, znalazły się:

— Gulf Oil Corporation poinformowała, że wydała 10,3 mln dolarów na prezenty, rozrywki i inne cele związane z działalnością polityczną w USA i za granicą.

— General Tire and Rubber Company ujawniła, że jej oddziały wypłaciły 18 tys. 600 dolarów przedstawicielowi rządu Wenezueli.

— Exxon Corporation poinformowała o wypłaceniu 1,2 mln dolarów partiom politycznym i przedstawicielom rządów w 15 krajach jako przekupstwo handlowe. „by zapewnić sobie, bądź wpłynąć na przychylne decyzje rządu”.

— Occidental Petroleum Corporation doniosła, że wydatkowała 202.313 dolarów na niezgodne z prawem, bądź niewłaściwe płatności plus 955 tys. 129 dol. na transakcje o wątpliwej legalności obejmujące 15 tys. dolarów potajemnie wpłaty na rzecz zagranicznych przedstawicieli władz podatkowych.

Przesłuchania kongresowe i akcje SEC ujawniły płatności na ogólną sumę 25 mln dolarów dokonane przez Lockheed Corporation na rzecz zagranicznych osobistości oficjalnych. Do tej pory ujawnienie tych soraw pogrążyło dwóch zagranicznych szefów państw (!). Japoński premier Kakuei Tanaka zrezygnował w 1974 roku, kiedy oskarżono go o przyjęcie 1,7 mln dolarów łapówki od Lockheed. Prezydent Włoch, Giovanni Leone, zrezygnował 15 czerwca po tym, jak jego rywal polityczny zarzucił mu, iż był zamieszany w kretactwa podatkowe i łapówki handlowe obejmujące m.in. 2 mln dolarów od Lockheed. Lockheed nie przyznaje się do żadnej nielegalnej działalności podziału porozumienie z SEC, że w przyszłości nie będzie dokonywał tego typu płatności. Nie podjęto przeciwko niemu żadnych kroków sądowych.

Do grudnia 1977 roku nie było sorzeczne z prawem amerykańskim, jeśli przedstawiciele kół gospodarczych USA wypłacali oficjalnym przedstawicielom zagranicznym pieniądze nawet jeśli było to nielegalne w innych krajach. Zanim ustawa zabraniająca tego typu płatności weszła w życie, zainteresowanie SEC w takich przypadkach skupiało się na pozwaleniu zasad sprawozdawczości finansowej i przepisów o pośrednictwie.

SEC oskarżyła 28 lipca 1978 roku Boeing Company o wydatkowanie w

ciągu ostatnich 7 lat co najmniej 52 mln dolarów w postaci tajnych płatności na rzecz osobistości oficjalnych w takich krajach jak Egipt, Iran, Kuwejt, Nepal, Arabia Saudyjska, Syria, Honduras i Korea Południowa w celu sprzedania tam samolotów. Boeing podpisał zrodne porozumienie, które nie stanowiło przyznania się ani też zaprzeczenia tym oskarżeniom. Rzecznik firmy powiedział, że zezodono się na takie rozwiązanie, by uniknąć kosztownej walki sądowej, ale równocześnie bronił legalności wpłat.

6 czerwca 1978 roku SEC uzyskała nakaz sądowy przeciwko R.J. Reynolds Industries, Inc., pod postawionym temu konglomeratowi zarzutem nielegalnych wpłat na rzecz partii politycznych w USA. Nielegalnych świadczeń na rzecz osobistości zagranicznych w związku ze sprzedażą wyrobów tytoniowych jak też stosowania rabatów w stosunku do klientów podległej sobie firmy Sea-Land Service, Inc., a wszystko to na sumę 25 mld dolarów. SEC oskarżyła firmę Reynolds o fałszowanie sprawozdawczości, fałszowanie raportów rocznych oraz materiałów dotyczących pośrednictwa — przesyłanych komisji. Ani nie przyznają się, ani też nie zaprzeczają zarzutom SEC, firma Reynolds zaakceptowała nakaz zabraniający jej tego typu pogwałceń prawa w przyszłości.

Niektórzy handlowcy amerykańscy skarżą się, że nowe ograniczenia kosztowały ich miliony dolarów w postaci utraconych transakcji, które zagrabili konkurenci europejscy i wschodni nie skrupowani zakazami dotyczącymi świadczeń za granicą.

(U.S. NEWS AND WORLD REPORT)

c.d.n.

— Wiedziałem żeś ty taki. Tylko na ciebie spojrzałem w tym ogrodzie. Nauczyciel, Boso do pana. — Panie Sniadowski — powiedziałeś podnosząc się trochę. — Pańskie dni jako właściciela tego majątku i cukrowni są policzone. Pan to wszystko utracił i nie robi pan nic, żeby temu przeciwdziałać. Nie dość, że jest pan, dosłownie szuła, to jeszcze z tym Polakiem. Czy dobry Polak z innych Polaków może wyciskać, co tylko może, nie dając nic od siebie. Nikomu nie jest potrzebny pański łaskawy chleb. — A co jest potrzebne? — Cukrownia. Cukrownia i majątek. — Powtórz te słowa panu Borzysławskiemu. — A powtarzał je sobie pan. Powtarzał. Nie to panu nie pomoże. Nie popelnilem i nie popełniłam żadnego występku. To pan jest jedynym wielkim występkiem i z czasem przyjdzie prawo, które to ukroczy. — Zobaczymy jak zaśpiewasz, gdy ci pan Borzysławski nie da pracy? — Niech pan już idzie stąd. Nie mam z panem nic wspólnego, a pan ze mną. — Taki człowiek jak pan, nie może uczyć dzieci w porządnej szkole. Postaram się to ukroczyć. — Szkoła to nie pańska sprawa. Panu nawet nie zależy, żeby dzieci z niej cokolwiek wyniosły. Pan lubi alfabetów. Ludzi nie umiejących ani czytać, ani pisać. Ale, mimo że pan ich lubi, oni nie odplacają taką samą monetą. I może nawet bez tej nauki czytania i pisania kiedys z panem skoczą. — Trzasnął drzwiami i wyszedł. Choroba wlokła się. Nawet, kiedy już wstała i z pomocą Justynki, takby na nowo zaczęła uczyć się chodź. czuła się nadal bardzo niedobrze i nie było mowy o tym, byś mógł wznowić naukę w szkole. Tak miały tygodnie, wreszcie nazbierało się ich tyle, że zostało tylko kilka do zakończenia roku szkolnego. Ustąpiły najbardziej drastyczne objawy choroby, ale osłabienie fizyczne i niewien rodzący osłabienia psychicznego utrzymywały się. — Co ci jest Józek? — pytała Justynka gładząc cię po ciemnych włosach — że to tak długo trwa. Niedługo czerwiec, powinieneś stać wyleczony, a nie widać żadnej poprawy. — Wyjechał i tak wywiał. Nie moge tu zostać. Chce tylko zacząć od końca czerwca. Chce poczuć się choć trochę lepiej. — Pielegnowała cię ciociulka, zdobywała i przynosiła nie wiadomo skąd to jedzenie. przelatałaś się jej niejednokrotnie, takby w nadziei, że samo to uporczywe wpatrywanie się wzbudzi w tobie miłość do niej, lecz było jakby wewnętrznie wywołany i niezdolny do żadnego żywego odruchu serca. — Ja wiem — ona sama znalazła wyjście z sytuacji — że mnie nie kochała i nie możesz pokochać, choć chwila, jak tak na ciebie patrzy, chcesz. Nie przeżmiesz się tym jednak. Tak bywa. Czy ja jestem pierwszą i ostatnią, która to spotyka. Ani tobie, ani mnie życie nie jeszcze nie kończy. Spotkamy się jeszcze kiedyś na chruście naszych dzieci. I tak mam dużo, że mogę tyle czasu spędzać przy tobie. Przynamniej się na ciebie napatrę i dobrze ci zapamiętam. Sama wiem, że ty jesteś nauczyciel a ja służąca i między nami niczego być nie może. — To nie to, Justynko. Nie to nas dzieli. — A co? — Może najbardziej nasze wspólne upokorzenie? Zresztą nie wiem... — Ja tam nie czuję się upokorzona. — A ja tak. — Bo ty uważasz, że należy ci się więcej niż ci dają. — Uważam, że nie tylko mnie.

Ze wielu innym także. — Świata nie odmienisz. — Zapewne, ale póki się to nie stanie, póki w wyniku jakichś okoliczności świat się nie odmieni, będzie tak uważał. — Panna Agnieszka przyjechała. Pytała mnie o ciebie. — Przecież mnie nie zna. — Ludzie jej to i owo opowiedzieli. — Ona chciałaby z tobą porozmawiać. — Ja nie chce. — Wtedy ci, że jesteś w takim stanie. — Nie. Nie mam jej nic do powiedzenia. Ona mnie także. — Przyszedł wreszcie ten czerwiec. Justynka postarała się o furkę i konia. Usiadła przy leżącym, a ty waramoliłeś się jakoś na siedzenie obok niej. Z tym samym tobołkiem, z jakim tu przybyłeś wciąż jeszcze mieszczącym w sobie buty kupione przez dziadka Wawrzyńca w kaliskim sklepie. Poprosiłeś ją, żeby leżała tymi samymi polnymi drogami, jakie przemierzysz wędrując do Zbierska. Przez Petryki, Strugi, Morawin, Mlynisko. Przed Koźminkiem poprosiłeś, żeby zatrzymała furkę. — Zeskoczę i pójdę dalej piechotą. Do wiedenja Justynko. Dziękuję ci za wszystko. Przegarnął ją i pocałował w usta. — Do wiedenja. Ja ci też dziękuję. — Ty? Nie masz za co. — A właśnie, że

skiego i nawet przy niewysokich zarobkach jakoś koniec z końcem znalazłem. Pan Sniadowski powiedział mi na odchodnym, że wstawi się za mną do inspektora Borzysławskiego, żeby mi dał dobrą pracę. — Dziadek Wawrzyńc pokiwał potakiwac głową. Wiedział od nauczyciela Kozińskiego, że przez cały ten rok nie dostałeś ani grosza wynagrodzenia. Wiedział o tym, ale nie zdradził się z tym, jakby przagnąć do twojego kłamstwa. dodając jeszcze swoje własne. W Koźminku, w domu dziadka Wawrzyńca i babki Anny, aczkolwiek w nim się nie przelewało, szybko doszedłeś do siebie. Tylko zębów nie udało się już uratować. Pokruszyły ci się i powypadały prawie wszystkie. W linco pojechałeś do Kalisza na komisje wojskowa. Wraz z kilkoma setkami takich jak ty, tyle tylko, że z reguły mocniejszej konstytucji i budowy, stanęłaś przed gruną groźnie się prezentujących lekarzy w białych kitlach. — A co ty? — zwrócił się do niego najstarszy z nich. — Coś ty ze sobą zrobił, żeby do wojska nie pójść? — Ja chce iść do wojska. — Nie doktorze. — Akurat ty masz wiele do powiedzenia w tej sprawie. —

chyba pan zdaje sobie sprawę, że nie jest to fach, w którym może pan le wykładac jak kupiec swoje towary na straganie. Musi pan być w przyszłości nieco bardziej ostrożny. Robić, co do pana należy i nie zdradzać się na prawo i na lewo ze swoimi myślami. Świat nie musi zaraz wiedzieć, że się pan przesuwu na lewo. — Ależ ja... — Wiem, wiem, co mi pan chce powiedzieć. Że to przypadek. Że pańskie poglądy nie są jeszcze skryształizowane. Możliwe? Niech pan jednak nie popełnia drugiego błędu i nabyt wcześniej się od nich nie odziewaj. Nie są one w końcu takie złe, panie Michał. Nie są złe. — Wracając do Koźminka szczerze uradowany. Może nie tyle owa praca w Wichertowie, lecz ponownym odkryciem żywiołowości ludzkiej. Po doświadczeniach zbliższych wydawało ci się bowiem, że wszystko utraciło swój sens. I właśnie może tu, na dworcu w Kutnie, gdzie teraz i on oczekiwał na pociąg do Łeczczy, mógł rozmyślać o tym, że znowu, ledwie sytuacja jako tako się unormowała, już nie tylko tobie, jak w Zbiersku, ale założonej przez ciebie z całą premedytacją rodzinie, zaczyn

wet w stanie uświadomić sobie, czy zbliży się do ciebie, czy też oddali. podobnie musi się czuć w gruncie rzeczy mężczyzna, który długo nie miał najmniejszych szans wobec kobiety przez siebie kobiety, aż nagle otworzyły się one przed nim, ale na krótki czas, dostatecznie jednak długi, by napędzić go złudzeniami, w obliczu których, wszystko co następuje później, jest katastrofą znacznie głośniejszą i poważniejszą niż ta spokojna rezygnacja na samym początku. I choć teraz już wie, że w roli obojczy wobec niego wystąpiła cała ta epoka niezdolna się przeciwstawić szaleństwu, to ta poważna wiedza nie cieszy go już tak jak mógłby zrazu przysuszczać, bo otrzymawszy już tak wiele chciałby jeszcze więcej, czyli niemożliwego. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności nie musi iść ciagle z głową obróconą w przeszłość, chociaż jest ona dlań tak ważna, bo przecież tam, w Warszawie, jest ktoś, kto w jakimś stopniu dziedziczy po tobie — umarłym, i po nim — żyjącym, a zarazem należącym do pokolenia, którego synowie nie będą musieli w takim stopniu jak on ściegać cieni swoich ojców, bowiem oni sami przekazał im wszystko o sobie we własnych opowieściach, na które w odróżnieniu od ciebie, będą mieli dostateczną ilość czasu. Otwiera okno, po tym deszczu, który przeszedł nad Świnicami i nad Łeczcza, zapowiada się na jutro pogodny dzień, niebo między Bzurą a Wisłą jest prawie granatowe, usłane punktami gwiazd, nieuchronnie zbliża się Warszawa, a wraz z nią — on! — pięknołka i Sebastian, kobieta która miała odważyć dodać swoją krew do jego krwi, aby z tego zmieszania powstał ich syn, twój wnuk, prawuk dziadka Wawrzyńca, owego człowieka niemal doszczętnie zapomnianego, zbagatelizowanego nawet przez własne dzieci, bliskiego zapożyczenia. I teraz pojawienie się tego prawnuka, podobnie jak wszystkich poprzednich, a także przyszłych, przewraca i dziadka Wawrzyńca życia, bo przecież ten chłonec po latach gdy jako tako dorósł, odpowiedziałby sobie na pytanie, kim był jego ojciec i dziadek, najpierw z ciekawości, a następnie z coraz bardziej autentycznej potrzeby, śledząc także po koźminkiego ganczara, a jeśli nie napotka na przeszkodę nie do pokonania, jeśli coś będzie go w tym kierunku stale ponęcać, wywiedzie stąd pewną cieżkość swego losu i powie sobie: wiem przynajmniej skąd się wziął.

KONIEC

Fragm. powieści „Zapis stanu lekowego”, która ukazuje się nakładem Wydawnictwa Morskiego.

WOJCIECH ROSZEWSKI

BOSY SEZON

mam. — Wybuchła nagle płaczem, zawróciła furkę i podeszła konia bitem. — Właśnie, że mam za co ci dziękować — usłyszał też poezmatny, nie miał już bowiem nigdzie się zabrać, okrzyk. Na ulicach rodzinnego miasteczka poczuła się nieco rażonej. Tak jakby sil, jakie cię w Zbiersku opuściły, tutaj zaczęły pospiesznie wracać. Przemierzając rynek, ukloniłeś się kilku znajomym i wszedłeś w ulicę Liskowska. Babka Anna stała przed progiem i rozmawiała z sąsiadką. Zobacząwszy cię rzuciła się ku tobie, schwyłała w ramiona. — Józek, jakis ty wynędzniały, jaki chudy! — Nie mi nie jest. Chorowałem trochę na żółdek ale teraz już przeszło. — Dziadek Wawrzyńc nie powiedział nic na temat jego stanu. Po obiedzie babka Anna zabrała się do rozpakowywania twoiego tobołka. Zupnie zapomniałaś o tych nieszczesnych butach. Nieświadoma niczego wydobyla je na światło dzienne, nowe jak i były, wcale nie zużyte. Dziadek Wawrzyńc przelechał po nich dłonią. — Nie pasowały ci. Dlaczego nie nie powiedziałeś. — Pomyslałem, że dam sobie jakoś radę i dałem? — Dalem. — Trochę mi omdlił właściciel majątku i cukrowni pan Sniadowski, trochę gmina, trochę ludzie. Udzielałem lekcji matematyki pani Agnieszce, siostrzenicy pana Sniadow-

Na wagę! Ile? — Czerdziesiąt siedem. — Chłop metr siedemdziesiąt z kawałkiem i czterdziesiąt siedem. No, my już cię tu zbadaamy. Powiem, co ci jest. Wygladasz tak, jakbyś nie miał co do siebie włożyć. — Nie miałem. Teraz już będę miał. — Wyszedłeś z tej komisji zwolniony ze służby wojskowej. Gdyby nie sprawa braci szczerbień nad tym byś nie ubolewał. Nie myślał nad tym zbyt długo skierowałaś się w stronę inspektora szkolnego. — No, jest pan wreszcie — powiedział na jego widok inspektor Borzysławski. — Spodziewałem się pana. Jest pan pewnie wstrząśnięty tym, co stało się w Zbiersku. Pisał mi tu o panu ten głupi Sniadowski. Przyprowadź mi, że wpoikałem pana w te historie. Niektórzy z naszych posiedzących sądzą, że wolno im wszystko. Oczywiście, muszę się z nim trochę kłócić, ale nie mam zamiaru szkodzić panu, tylko z tego względu, że on sobie tego życzy. Niech wiedza, że jesteśmy niezależni. Dlatego chce pana skierować do pracy w Wichertowie. To jest w powiecie tureckim. Oczywiście, do normalnej pracy, bowiem te bezpłatne praktyki ma pan już za sobą. Odpowiada panu ta miejscowość? — Spodziewałem się zgoła innego przyjęcia, powiedziałeś krótko: — Tak. — Jest jeszcze jedna sprawa, panie Michał, Szanuje pana poglądy, ale

najbardziej nowe, zupełnie nieprzewidziane niebezpieczeństwa. Za owo zwolnienie ze służby wojskowej jakim cię uraczyła komisja lekarska w Kaliszu, które swojego pełnego sensu nabrało z chwilą kiedy inspektor Borzysławski dał ci te prace w Wichertowie, teraz dla odmiany może się obrócić przeciwko twojej woli. Siedziałeś już dwudziestostuletni na tym dworcu, czekałeś na pociąg do Łeczczy i czułeś jak wypełniała cię wolać nowe troski. I on je ma, ale przecież są odmienne niż twoje. I on leka, że może się stać coś nieprzewidzianego, ale jednocześnie wie, że może to zaskoczyć najwyżej tego, a nie jak trzydzieści osiem lat temu, w Świnicach, rozlegała się różne głosy, mówią mu o tobie, ale ten najbardziej przez niego w przywileju jakiegoś szaleństwa upamiętniony, twój własny, milczy, nie rozlegnie się nigdy, choć tak wiele w ostatnim czasie czyni, żeby nie w ten to w inny sposób go ocalić. I przychodzi w tym pociągu taki moment, że nie jest na-



znanych nazwisk, takich jak: Alejo Carpentier, Pablo Neruda, Juan Rulfo, Octavio Paz, Carlos Fuentes, Mario Vargas Llosa, Julio Cortazar.

Roman Samel, „Bunt i gwałt”, Czytelnik, W-wa 1978, str. 297, cena zł 40,-

BUNT I GWALT

Książka „Bunt i gwałt” Romana Samela jest efektem długoletnich zainteresowań autora kulturą i sztuką, a także rzeczywistością społeczną, polityczną krajów Ameryki Łacińskiej i historyczną z nim związaną powstania bursyjskiego. Na książkę składają się szkice autora i rozmowy z wieloma wybitnymi pisarzami, malarzami, naukowcami, politykami, działaczami i emigrantami politycznymi. Uważny czytelnik literatury iberoamerykańskiej znajdzie w książce Samela wiele

IGRZYSKA OLIMPIJSKIE 1976

I inicjatywy rozbrojenowe, decyzje i ustalenia dotyczące międzynarodowych stosunków gospodarczych, informacje o ważkich wydarzeniach w ruchu komunistycznym i robotniczym.

W publikacji tej nie ma publicystycznej oceny zjawisk i wydarzeń. Sam jednak wybór, hierarchia i propozycje ustalenia dla poszczególnych faktów pozwalają czytelnikowi na samodzielne dokonanie analizy, skłaniają do przemyśleń i wyciągania wniosków, ułatwiają znalezienie odpowiedzi na pytanie: jaki faktycznie był ten rok 1977?

Jerzy Burszczyński „Wydarzenia '77”, KAW, W-wa 1978, str. 605, cena zł 75,-

NAJLEPSI

„Zdając sobie sprawę, jak rośnie społeczne zapotrzebowanie na tematykę piłkarską, oddajemy do rąk Czytelników książkę, która w forum popularnego „Kto jest kim?” przypomni dawnych i dzisiejszych bohaterów światowego i polskiego futbolu. Znajdziecie w niej 180 sylwetek wybitnych piłkarzy, zrozumiacie, że wśród nich wielu Polaków. Książka nie rości sobie pretensji do miana kompendium wiedzy o tej dyscyplinie sportu. Kreśli jedynie lapidarnie charakterystyczne rysy postaci, nawiązuje do najbardziej pamiętnych meczów, omawia sposoby gry”. Tak prezentuje wydawca książkę „Najlepsi piłkarze świata — A-Z — kalejdoskop”. Jej autorami są dwaj dziennikarze, Andrzej Konieczny, przez

kilka lat naczelny redaktor gazety „Sport”, obecnie kierujący wielkim ośrodkiem radia i telewizji. Drugi autor, dr Janusz Kukulski, z wykształcenia jest lekarzem, a od kilkunastu lat pracuje jako dziennikarz w krakowskim oddziale sportu. Jest autorem ciekawej i popularnej książki „Światowa piłka nożna”.

Wśród 180 najlepszych piłkarzy świata czytelnik znajdzie sylwetki polskich piłkarzy. Autorzy prezentują sylwetki Spiridona Albaszkiego, Zygmunta Anczoka, Lucjana Brychczego, Gerarda Cieślaka, Lesława Cwikiewicza, Kazimierza Deyny, Roberta Gadochy, Jerzego Gorgonia, Mieczysława Gracza, Józefa Kabaty, Henryka Kasperczaka, Huberta Kostki, Wacława Kuchara, Grzegorza Lato, Włodzimierza Lubasńskiego, Józefa Justgajstana, Henryka Martyny, Zygmunta Maszczyka, Józefa Nawrota, Stanisława Osiły, Tadeusza Parpana, Ernesta Pola, Andrzeja Szarmacha, Władysława Szczepaniaka, Zygmunta Szotyjskiego, Antoniego Szymonowskiego, Edwarda Szymkowiaka, Jana Tomaszewskiego, Gerarda Wodara i Władysława Zmudy.

Andrzej Konieczny, Janusz Kukulski, „Najlepsi piłkarze świata — A-Z — kalejdoskop”, Krajowa Agencja Wydawnicza, str. 237, cena zł 40,-

SPORT '77

Zbigniew Chmielewski i Ryszard Zochowski już po raz czwarty dostarczają kibicom opracowany przez siebie kalejdoskop sportowy, będący przeglądem najważniejszych i najciekawszych wydarzeń minionego roku. „Sport '77” zawiera więc syntetyczne relacje z mistrzostw świata, Europy i Polski, z ważniejszych zawodów i spotkań międzynarodowych, jak również bogate informacje o imprezach krajowych.

W porównaniu z trzema poprzednimi kalejdoskopami, w „Sportie '77” autorzy wprowadzili istotną innowację, która czytelnikowi powinna być zadowoleniem. Nie ma więc już układu wydarzeń według kolejnych miesięcy. W najnowszym kalejdoskopie wprowadzono porządek alfabetyczny. Zaczyna się od akrobatyki, ostatnią omawianą dyscypliną jest żużel. W ten sposób kalejdoskop jest bardziej przejrzysty i łatwiej jest odszukać interesujące nas fakty. Dla przykładu, hasło „Piłka nożna” zawiera dość szczegółowe informacje z eliminacji do mistrzostw świata, z ważniejszych spotkań międzystanowych, z rozgrywek europejskich pucharów, z I i II ligi polskiej, rozmiar końców wiadomości o najlepszych piłkarzach roku 1977 w kraju i za granicą.

Jest więc „Sport '77” książką niezbędną w bibliotece każdego kibica i na tym można by skończyć tę krótką informację, gdyby nie jeden fakt. Druk książki ukończono w lipcu 1978 r. W Warszawie książkę recenzowano już w końcu sierpnia. Do łóżek księgarń dotarła dopiero w końcu października. Trochę to wszystko późno i doprawdy wydawało się, że Krajowa Agencja Wydawnicza — mogłaby jednak pomyśleć o przyspieszeniu tego typu publikacji. Bądź co bądź kończy się już rok 1978.

Zbigniew Chmielewski, Ryszard Zochowski, „Sport '77” — Kalejdoskop”, KAW, W-wa 1978, str. 373, cena zł 50,-

zdarzenia i zwierzenia

Gdzie te czasy, kiedy to Boy czy Słoniński siadali nocą po premierze spektaklu i pisali recenzję, która ukazywała się w porannej gazecie. Widać mógł niejako na gorąco konfrontować swoje wrażenia z opiniami recenzentów — już po paru godzinach.

Nie było wówczas nowoczesnych maszyn drukarskich, dyktafonów... Czego to wówczas nie było...

Kiedy w tydzień po premierze „Życia seksualnego dzikich” — nowego programu kabaretu „Estrady Łódzkiej” — zapytałem kolegę z pewnej gazety, kiedy napisze recenzję, odparł: „Ano zobacz, jeszcze zobacz...”. Nie chodziło, rzecz prosta, o powtórne zobaczenie programu.

A tu sprawa jest prosta. W lutym mieliśmy w „Estradzie Łódzkiej” premierę „Wielkiego Szpanu”. Był to program świetny — po raz pierwszy od lat zobaczyliśmy w Łodzi kabaret bez kompleksów провинции — nie też dziwnego, że ocenili go wysoko prasa całego kraju. Wszystkim, którzy wróżyli twórcy tego kabaretu Andrzejowi Józwiakowi, że się sromotnie wyłoży — szczęśliwie nie wyłożył — szczęśliwie opadł.

ŻYCIE SEKSUALNE DZIKICH, CZYLI SŁODKI DŹWIĘK UKULELE NAD ŁÓDZIĄ

Jowi Józwiakowi, że się sromotnie wyłoży — szczęśliwie nie wyłożył — szczęśliwie opadł.

I oto minęło zaledwie parę miesięcy (wliczając w to letni „martwy sezon”) i znów mamy premierę następnego programu. Jeśli nawet napiszę, że rozdzielił się on w trudach i przy najróżniejszych kłopotach — nikt zapewne nie uwierzy. No bo — powiecie — jakie mogły być kłopoty skoro następny program przygotowano tak szybko? Ale zarówno tempo jak i efekty to już tajemnica twórców kabaretu.

Tytuł programu brzmi „Życie seksualne dzikich czyli słodki dźwięk ukulele nad Polonezją”. Oglądamy ów wyimaginowany kraj, który zwiedza Człowiek Na Każdą Okazję (Marek Sobczak) wiodąc wielce ucielesnioną rozmówkę z Wodzem Rewolucji Seksualnej (Antoni Szpak)... Śmiejemy się z tych dialogów, choć czasem zabrzmi nam w nich coś jakby znajomym — z ulicy, biura, gazety... Ale bywa, że na widowni zamiera śmiech. Kiedy Dama Republiki (Jaga Paduch) pyta w pięknie zaśpiewanych balladach: „Dokąd pędzisz Don

Kichocie” albo stawia dylemat „Czy lepiej dostać nominację czy lepiej swą zachować twarz?”

A potem pojawia się na estradzie Para-Noja (Bronisław Opalko — znakomity talent estradowy!). Seksu też oczywiście — zgodnie z tytułem — nie mogło zabraknąć. Reprezentowały je barwne przeżościa — niestety, bardziej skromne, niż to oglądamy w piśmie dla nastolatków „Razem” — oraz absolutnie żywa pani Ziuta (Zofia Kotodziejczyk). Nie mogło też zabraknąć Dziewczyny Pełnej Optymizmu (Renata Słomińska) — bo przecież spoza ostrej satyry programu wyłaniała się optymistyczna konkluzja.

Bo jest optymizm w refleksjach nad złożonością naszej współczesności — nad powszednią obyczajowością, wygodnictwem, konformizmem, obłudą i cynizmem małych ewanaliczków zasłaniających się wielkimi słowami. Jest optymizm w tym, że mówi się o tych sprawach odważnie i ostro, że przystawia się krzywe zwierciadło do o-

blizca skrzeczącej, gombrowiczowskiej Gęby.

Pisałem przed ośmioma miesiącami, że marzenia o dobrym kabarecie snują się po Łodzi od lat. Dziś mogę powiedzieć, że marzenia się ziściły. „Wielki Szpan” nie okazał się efemerydą, Andrzej Józwiak się nie wyłożył...

Oczywiście wiem, że „Życie seksualne dzikich” może ponieść którychś zrytówale, czy wręcz oburzyć. Ale to dobrze. Najgorsza rzecz jaka może spotkać program kabaretowy to właśnie obojętność. A ta kabaretowi „Estrady Łódzkiej” nie grozi.

Zreżumujmy więc: W lutym tego roku „Wielki Szpan” — w listopadzie „Życie seksualne dzikich” — a na początku grudnia (tak jest!) — nowa premiera kabaretu. Mniej więcej w dziesięć miesięcy urodziły się Andrzejowi Józwiakowi trojaczki. Niesforne to dzieci i wielce pyskate — ale dobrze, że się wręczyły w Łodzi takie „enfant terrible” urodziło.

WIDOK

GALERIA PISARZY ŁÓDZKICH JERZY RZYMOWSKI



Monografista.
Eseista.
I na pensji
W „Odgłosach” oczywista

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

propozycje

„Bo dobry Bóg już zrobił co mógł, teraz trzeba zawołać fachowca” — tak śpiewają Stefan Friedmann i Janusz Kofta w „Dyskordzie”, czyli na taśmie magnetofonowej, która w kasie jest dołączona do ich książki „Dialogi na cztery nogi, Fachowcy”. W tym lapidarnym ujęciu autorzy chcieli wyrazić głęboką myśl, że we współczesnym świecie dokonali się daleko posunięty podział pracy, i że dokonuje się nadal, i już nawet dobry Bóg, który dał początek temu wszystkiemu, jest bezradny. Tu już mogą poradzić tylko fachowcy. Stąd we współczesnym świecie ten niemal nabożny kult fachowości.

Fachowcy nie czekają na pracę, to praca czeka na fachowców. Z tego też powodu daje się zauważyć lekceważący stosunek fachowców do pracy. Fachowcy mają jej tyle, że nie bardzo wiedzą od czego zacząć, a po drugie, są święcie przekonani, że praca nie zajmie, więc nie uciekną. Zawsze się zdąży zrobić Złeceniodawcy, czyli ci, którzy zapraszają do siebie fachowców, aby wam wyświecić, ściankę przestawili, zainstalowali elektryczność, okno oszklili, zleceniodawcy ci są więc innego zdania niż fachowcy, ale jest to wyłącznie ich prywatna sprawa. Fachowcy do

FACHOWCY

pośpiechu i niepokoju zleceniodawców odnoszą się z lekceważeniem. Fachowcy takiej niewowolności nie rozumieją. — Nie zrobił dzisiaj — mówią fachowcy — to zrobim jutro. Jutro przecie też jest dzień pracy — uspokajają.

U jednych moich znajomych trzeba było wymienić wannę i baterie w łazience i kuchni. Wezwano fachowców. Przyszli popatrzyli i orzekli, że narzędzi nie wzięli. Wyszli po te narzędzia. I tu rysuje się pewna ogólna refleksja. U nas fachowcy chodzą parami. Nigdy w pojedynkę. Zawsze musi być ten ważniejszy, który kieruje pomocnikiem. Zdarzyło mi się już widzieć brzydą, która przysłała wymienić kran.

Fachowców zresztą łatwo poznać na ulicy. Nie dlatego, że mają przewieszzone przez ramię torby monterskie z narzędziami, nie podobnego Takie torby noszą teraz nagminnie młodzi i starzy, bo jest to wygodniejsze od tradycyjnych teczek. Ręk nie kępuje. Więc nie po torbie poznaje się fachowca. I nawet nie po wacłaku. Po tym, jak idzie. Jeśli fachowcy idą do klienta, to oni po prostu mają czas. Oni wtedy pilnie obserwują otoczenie, poznają życie cieższe przyrodą, tym, że ptaszki śpiewają, że wiatr wieje, że słonko świeci. A jak fachowcy idą od klienta, to oni się śpieszą, bo jeszcze mają fuchę. Fachowca to niby

też klient, ale inny. Fachowca płaci bezpośrednio fachowcowi, klient urzędowy firmie, a firma dopiero fachowcowi. To już jest inna zupełnie kalkulacja. Fachowiec musi być w firmie, ale kocha fuchę.

Jak ci fachowcy u mojego znajomego wyszli po narzędzia, to ich długo nie było. Kiedy wrócili, to doszli do wniosku, że nie jedli śniadania, choć już zbliżała się pora obiadu. A w pobliżu był taki mały bar, gdzie podobno jest znakomita grochówka, więc oni mieli ochotę na grochówkę. I poszli. Mój znajomy sobie włosy rwał z głowy, bo on jest specjalistą i zwolnił się z pracy, aby ułatwić fachowcom wykonanie usługi. Dzień już mijał, a usługa była daleko w lesie. W końcu sam się wziął i wymienił kran w kuchni. Nawet mu to dobrze wyszło. Fachowcy go pochwalili — patrz, jaki zdolniaczka — powiedzieli — a wydawało się nie, tylko zwykły inteligent. Znajomy mój był ucielesnioną taką pochwałą. Następnego dnia wolne wzięła jego żona, bo fachowcy jednak u usługi nie skończyli. — Jutro też jest dzień pracy — powiedzieli — zrobi się jutro.

Istnieje u nas wyraźny podział między tych, którzy są fachowcami, a tych, którzy są specjalistami. Specjalista jest to wyższa forma fachowości, szacunek i poważanie należy się jednak fachowcom a nie

specjalistom. Specjalistów kształciło państwo, mieli stypendia, akademiki, płacono im nagrody, jak się dobrze uczyli, to niech będą zadowoleni. Fachowcy do wszystkiego doszli sami. Specjalistów jest jak mrówek, fachowców mało, bo kto dziś chce być fachowcem. Wszyscy chcą być inżynierami, magistrami, doktorami i docentami. Dobrze więc jest niekiedy, jeśli specjalistę przestana zadziierać nosa i sami, wezmą się do roboty.

W telewizji pewien młody człowiek przekonywał innego młodego człowieka, że nie powinien czekać aż mu spódnica posadzi drzewka, tylko samemu wziąć się za łopatę i zrobić to za spódnicę. W końcu fakt, że każde niemal miasto ma swoje przedsiębiorstwo zieleni, nie ma tu żadnego znaczenia, bo tam też są fachowcy i oni bardzo szanują swoją pracę. Szacunek do pracy ma przecież swoje granice. Wyznacza je u nas „sztamajz”. Do takiej pracy, przy której potrzebna jest „sztamajza” szacunek jest wymagany. Do takiej, kiedy już „sztamajz” nie potrzeba, koniec z szacunkiem. Ci, co nie posługują się „sztamajzą” mogą z powodzeniem zastępować fachowców. Bo fachowcy jest mało, trzeba więc z fachowcami jak z jałkiem. I słusznie. Profesor uniwersytetu może tworzyć nowe teorie, ale kranu nie zreperuje. „Trzeba zawołać fachowca” — jak słusznie śpiewają Friedmann i Kofta.

MARCIN RODAK

Przyjdzie pan jeszcze raz...

lewym okiem

Z dniem 1 października bież. roku weszła w życie instrukcja Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej, według której nie wolno sprzedawać w aptece żadnego leku w ilości większej niż jedno opakowanie. Jedno opakowanie w odniesieniu do zastrzyków to przeważnie sześć sztuk, a minimalna seria to dwadzieścia zastrzyków; antybiotyki pakowane są po 12 lub po 15 tabletek, a trzeba ich zażyć co najmniej 30, inaczej nie ma sensu zaczynać. Większość dogleliwości nie da się wyleczyć jednym opakowaniem leku, wystarczającym na ogół na parę dni, a w ogóle decydować o tym musi lekarz, nie urzędnik z ministerstwa. Żadna instrukcja nie może przekonać lekarza, że sześć iniekcji carboxylasy postawi na nogi gościa złamanego zapaleniem korzonków nerwowych.

Co prawda instrukcja nie ogranicza lekarzy, tylko pacjentów, czyli ludzi chorych. Lekarz wypisze — gdy uzna to za potrzebne — receptę na 120 tabletek, czyli na cztery opakowania. Żeby stało się zadość wymogom ministerialnych uśpieniaczy, wypisze nawet cztery oddzielne recepty zamiast jednej, zużywając deficytowy papier i marnując swój cenny czas na bezmyślną pisaninę. Wizyta u lekarza trwać będzie dziesięć minut zamiast dotychczasowych pięciu. Najważniejsze jednak, że po wyjściu z gabinetu pacjent zostanie puszczony w ruch. Jeśli to jest duże miasto — może zająć do czterech aptek, postać w każdej godzinę, pokłócić się z tuzinem takich jak on wędrowników i zdobyć, co trzeba; jeśli to jest małe miasto lub wieś, będzie cztery razy jeździł do tej samej apteki, o ile w międzyczasie nie rozłoży się na dobre od nadmiaru turystyki. W każdym zaś wypadku zamiast jednej — cztery panie magister będą miały robotę, cztery kasjerki wypiszą i zasklepują cztery recepty, cztery kartki zostaną nadziane na cztery szpilki. Kolejki w ap-

tekach wydłużą się czterokrotnie. Czy kosztem tych wszystkich absurdalnych komplikacji złagodzony zostanie niedobór leków na rynku? Czy chodzi o zwalczanie spekulacyjnego handlu lekami, tak jak to można domniemywać.

Nie słyszymy jednak o aspirynie i o tabletkach przeciwciepłotylnych na czarnym rynku. Nie przypuszczam też, żeby lekarze kazali zażywać więcej leków niż trzeba. To prawda, że są po domach niepotrzebne zapasy różnych medykamentów. Są, bo pacjent nie zużył tego, co mu kazano, albo też są to leki nabywane bez recepty. Proszę bardzo, sprzedaż takich leków można ograniczyć, ale te, które wymagają przepisu lekarza — powinny być sprzedawane w przepisanej ilości i koniecznie. Inaczej mamy do czynienia z interwencją urzędnika pomiędzy lekarza a chorego.

Cóż byśmy powiedzieli, gdyby na przykład z powodu poważnych niedoborów papieru ograniczyć w księgarniach sprzedaż „Lalki” lub „Cichego Donu” do pierwszego tomu? — „Po drugim tomie proszę przyjść osobno albo przysłać kuzynkę” — powiedziałby księgarz, bo tak właśnie radzą nam aptekarze. Dzieciom sprzeda się w sklepie jeden zeszyt, a po drugim niech idą do sklepu za rogiem. Na obitkę czytamy, że handel łódzki zakupił na targach mniej obuwia niż potrzebuje. Kto wie zatem, czy w pierwszym kwartale przyszłego roku nie będziemy kupować lewego buta w jednym sklepie, a prawego w drugim? Mówicie, że para butów to całość, której nie można dzielić? A seria antybiotyków — to nie całość? A kuracja ibrufenowa — to nie całość, której przerwanie pozbawia ją sensu?

Panie Ministrze Zdrowia, nie- zbytnie zdrowi i całkiem niezdrowi obywatele proszą uprzejmie o anulowanie instrukcji numer pięć...

ĆWIEK

sport

Mamy już zimę. Na piłkarskich stadionach oczywiście. W ubiegłą niedzielę, 19 listopada skończyła się jesienna runda ligowego sezonu 1978-1979. Nim na stadiony piłkarskie wróci wiosna, czeka naszych piłkarzy sporo roboty. Głównie zapowiadają ostrą i śnieżną zimę, to przeprowadzić nie zawsze się sprawdzają. Trenerzy piłkarscy — zapowiadają pracowitą zimę, miejmy nadzieję, że te zapowiedzi znajdą pokrycie w rzeczywistości, że wszystko nie skończy się na dobrych chęciach, a wiosna zawodnicy tego i owego klubu nie wyjdą na boisko nie przygotowani.

Mistrz jesieni została rewalacja — jak to podkreślano — Odra z Opolą. W ostatnim meczu, właśnie we wspomnianą niedzielę, Odra wygrała na swoim boisku z Inną rewalacją jesienną rundy, z chorowiskim Ruchem. Inną jeszcze rewalacją, jedenastka RTS Widzew, zajęła trzecie miejsce, mając tyle samo punktów co Ruch, ale gorzej stosunek bramek. Tylko, że dwie rewalacje finiszowały nie najlepiej. Ruch usiłował jeszcze w Opolu stawić czoła przeciwnikowi, Widzew natomiast rozpaczył, wie bronął się i swoje zwycię-

Zanim nadejdzie wiosna

stwo zawdzięcza bardziej szczęściu niż dobrej grze.

Jeśli się obserwuje pierwszą ligę, to widać w jej najnowszych dziełach pewną prawidłowość. Sprośdza się ona do niestannych huśtawki formy poszczególnych zespołów. To jest oczywiście normalne, że ten sam zespół przez pewien okres gra dobrze, później może mu się trafić okres gorszy, może nastąpić pewien spadek formy. Alili taka huśtawka formy klubów zawodowym zdarza się rzadziej. Natomiast u nas jest niemal reguła, że drużyna, która wzniesie się na szczyty ligowych rozgrywek, niedługo musi z nich spaść na łeb na szyję. Tak było swego czasu z jedenastką ŁKS, kiedy ją prowadził Leszek Jezerski, który wyciągnął ją z dna, wpełnił na wyżyny i później przyszło 7 pod rząd przegranych meczów. Tak było teraz z Widzewem, który wygrał może nie w najlepszym stylu, ale wznosił się na czoło ligowej tabeli i był przez pewien okres liderem, aby później zacząć przegrywać równie w bardzo nieładnym stylu. Tak było z Ruchem, który też wznosił się z dna i został wicemistrzem jesieni, ale pamiętajmy, że końcówkę miał już gorszą, przegrywał z przeciwnikami, z którymi nie powinien był przegrywać.

Dlaczego tak się dzieje? Czy jest to konsekwencja wynikająca z psychologicznego nastawienia, z wiary, że dla nas już nie ma mocnych, że my sobie możemy grać spacerkiem? Czy jest to ciągle ten sam błąd w szkoleniu, wynikający z tego, że przetrze-nowanym zawodnikom kondycja staje na te 8-10 meczów, a później przychodzi naturalne załamanie? Obojętne zresztą, jaka odpowiedź znajdzie na te pytania szkoleniowcy, niemniej warto się nad nimi zastanowić i poszukać przyczyn, bo musi gdzieś być błąd.

ŁKS kończąc jesienną rundę w środku tabeli zajął, można powiedzieć, dobre pozycje wyjściowe. Oby tylko zespół nie zmarnował zimy, oby dobrze popracował i wystąpił wiosną z należytą wolą walki. A walka o mistrzostwo pierwszej ligi może być zacięta, bo nie tylko Odra i Ruch, nie będą chciały zrezygnować z dobrych miejsc, próbować dojść czołówki będą usiłować inni. Wisła chyba też nie spasyje i chyba jeszcze nie mała rolę odegra na ligowych stadionach. W tej sytuacji nie najlepiej przedstawia się perspektywa Widzewa. Drużyna ta przeżywa kolejny kryzys i może mieć wiosną trudności z utrzymaniem się wśród czołowych zespołów pierwszej ligi.

Zimową pracę w klubach trze-

ba też prowadzić pod kątem przygotowań naszych zespołów do eliminacji rozgrywanym w ramach mistrzostw Europy i olimpijskich. Wprawdzie z tymi drużynami nie ma takiego pośpiechu, tym bardziej jednak trzeba ten czas dobrze wykorzystać dla przygotowania olimpijskiego zespołu. A i drużyna reprezentacyjna też ma co zrobić, bo chociaż pokonała Szwajcarów, to przecież pozostał jeszcze rewanż, a także po dwa mecze ze znaczącymi groźniejszymi zespołami: NRD i Holandii. Sukces odniesiony we Wrocławiu niewątpliwie cieszy, przyjemnie było postrzeć na uśmiechniętą twarz Ryszarda Kulczyka. Odnosił on osobiste zwycięstwo udowodniając, że niestusznie nie skorzystano z jego rad przed „Mundialem 78” i w trakcie samego „Mundialu” kiedy to siedział przed telewizyjną kamerą i pocieszał nas, jak tylko mógł. Ale to dopiero początek. Nie popadajmy więc w euforie, że znów nam szumia husarskie skrzydła, tylko popatrzy trzeźwo na piłkarską rzeczywistość i pozostawmy przy stwierdzeniu, że jest z czego zrobić dobry zespół, ale wiele muszą się piłkarze wycisnąć, aby ten zespół mógł bez obaw stanąć do walki z najgroźniejszymi przeciwnikami. I to jest też powód, dla którego tegoroczny zimny nie wolno piłkarzom zmarnować. Zanim nadejdzie wiosna, uciecwie trzeba popracować, czego wszystkim zespołom serdecznie życzę.

BOGDA MADEJ